

ISSN 0867-8952

NR 2(278) LUTY 2014

KOMBATANT



Biuletyn Urzędu
do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych



operacja
ADOLPHUS



NAC Okładka na podst. zdjęcia z Narodowego Archiwum Cyfrowego www.nac.gov.pl

BIULETYN URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH

Redakcja

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
e-mail: kombatant@udskior.gov.pl

redaktor naczelny: Piotr Sulek
tel. (22) 661 89 22
e-mail: piotr.sulek@udskior.gov.pl

Katarzyna Zientara-Majewski
tel. (22) 661 84 23
e-mail: katarzyna.zientara@udskior.gov.pl

Współpracują:

Franciszka Gryko, Jan P. Sobolewski,
współpraca fotoreporterska: Alina Nowacka

Redakcja tekstów: Wojciech Lewicki

Korekta: Dariusz Saracyn

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.udskior.gov.pl

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
centrala tel. (22) 661 81 11
punkt informacyjny tel. (22) 661 81 29
(22) 661 87 06, www.udskior.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Druk: TOPDRUK Sp. z o.o.

ul. Nowogrodzka 151a, 18-400 Łomża

Nakład: 4200 egz.



w numerze

- 3** 100 najdłuższych sekund
Andrzej Rafał Potocki
- 6** „Burza” szła od Wołynia
Wojciech Lewicki
- 10** Operacja „Adolphus”
Katarzyna Zientara-Majewski
- 14** Cichociemni „drugiej klasy”
Wojciech Lewicki
- 15** Kombatanci odchodzą – zostają pomniki
Zbigniew Zieliński
- 17** Eutanazja – zbrodnia w Hartheim
Agnieszka Kuchcińska-Kurcz
- 20** Jesteśmy wolni – to nasi chłopcy
Piotr Sulek
- 24** Pułkownik Kukliński – człowiek honoru
Wojciech Piotrowski
- 28** Partyzancki poem
Jarosław Lewandowski
- 31** Pożegnanie płk. Stanisława Berkiety



FOT. JAROSŁAW LEWANDOWSKI ZE ZBIORÓW MUSEUM W OLSKA POLSKIEGO W WARSZAWIE

Broń wytwarzana w podziemiu w czasach II wojny światowej, pod niemiecką okupacją, jest tematem niezwykle ciekawym. Zazwyczaj wiąże się ją z Warszawą, powstańcami Stenami, Błyskawicami oraz granatami. Tymczasem także polska wieś ma na swym koncie sukcesy w tej materii.

Noc z 15 na 16 lutego 1941 r. Na pokładzie lecącego do Polski brytyjskiego dwusilnikowego samolotu Whitley NF-B znajdowało się trzech skoczków: dowódca misji, kpt. Stanisław Krzymowski „Kostka”; por. Józef Zabielski „Żbik” oraz kurier polityczny, Czesław Raczkowski „Włodek”. Samolot dysponował niewielką prędkością przelotową ok. 300 km na godzinę i zasięgiem w granicach 2700 km. Pierwszemu, doświadczałnemu przerzutowi cichociemnych do kraju nadano kryptonim „Adolphus”.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

K O L P O R T A Ż

Kolportaż: Tomasz Nejmanowski,
tomasz.nejmanowski@udskior.gov.pl, tel. (22) 661 86 67

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian i skrótów w nadsyłanych materiałach. Materiały powinny być podpisane pełnym imieniem i nazwiskiem autora tekstu i zdjęcia oraz zawierać jego prywatny adres i telefon kontaktowy, a także krótką notkę o autorze tekstu. W miarę możliwości prosimy o dostarczanie tekstów i materiałów graficznych (zdjęcia o rozdzielczości 300 dpi) w wersji elektronicznej (na CD lub pocztą elektroniczną). Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Rubryka *Poszukujemy* jest bezpłatna.

ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI

100

Kutscherę ściągnięto do Warszawy, by terrorem rozprawił się ostatecznie z działalnością Armii Krajowej na terenie stolicy. Ponieważ szybkie wyłapanie członków podziemia nie wchodziło w rachubę, Niemcy postanowili zastraszyć mieszkańców. Liczyli na to, że ogarnięte porażającym strachem społeczeństwo odwróci się od zbrojnej konspiracji i w ten sposób ruch oporu zostanie sparaliżowany.

Austriak Franz Kutschera działał na mocy nowo wydanego rozporządzenia Hansa Franka z 2 października 1943 r. „O zwalczaniu zamachów na niemieckie dzieło odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie”. Dokument ten upraszczał procedurę karną i zezwalał sądom doraźnym policji bezpieczeństwa na natychmiastowe orzekanie kary śmierci bez udziału oskarżonego. Plutony egzekucyjne SS i policji rozpoczęły swoje dzieło na ulicach miasta. Za kadencji Kutschery, pomiędzy wrześniem 1943 r. a lutym 1944 r., w ok. 30 publicznych egzekucjach na ulicach Warszawy zamordowano ok. 1200 osób. Więcej niż 3 tys. kolejnych zastrzelono w ruinach getta. Obwieszczenia publikujące listy ofiar Niemcy rozlepiali na słupach ogłoszeniowych. Co ciekawe, nie były podpisane z nazwiska, jak do tej pory, tylko sygnaturą „Dowódca SS i policji na dystrykt warszawski”.

Przez dłuższy czas wywiad AK nie wiedział, kto za tym stoi. Pomógł przypadek. Aleksander Kuniczki „Rayski”, jako szef komórki „Agatu” (Anty-Gestapo), zbierał dane o niemieckich oficjalach w Warszawie i często przechadzał się po niemieckiej dzielnicy. Pewnego razu za-

najdłuższych sekund

Cała akcja trwała 100 sekund. Tyle wystarczyło żołnierzom oddziału specjalnego Kedywu Komendy Głównej AK, by w centrum okupowanej przez Niemców Warszawy zastrzelić SS-Brigadeführera i Generalmajora policji, Franza Kutschera. Akcja ta była jedną z najbardziej spektakularnych i brawurowych, jakie podziemie AK przeprowadziło w czasie II wojny światowej. Dnia 1 lutego minęło 70 lat od tego wydarzenia.



– Kutschera myślał, że Warszawa należy do niego, tu skończył swój żywot – powiedział podczas uroczystości Jan Stanisław Ciechanowski FOT. ALINA NOWACKA

uważył limuzynę Opel Admiral o numerze rejestracyjnym SS 20795, która wjeżdżała do budynku dowództwa gestapo przy Al. Ujazdowskich 23, mieszczącej się w pałacyku należącym przed wojną do posel-

stwa holenderskiego. Wsiadł z niej generał SS ubrany w skórzany płaszcz. Dalsza inwigilacja wykazała, że wyższy oficer mieszkał nieopodal w al. Róż. Niebawem ustalono, że jest nim właśnie szef SS i policji Franz Kutschera. Ówczesny dowódca Kedywu AK, gen. August Fieldorf „Nil”, jak tylko dowiedział się o tym odkryciu, wydał natychmiastowy rozkaz jego likwidacji.

Do wykonania zadania wyznaczono I pluton „Pegaza” (Przeciw-Gestapo), kierowany przez Bronisława

Akcja Kutschera – 70 lat po wykonaniu wyroku na kata Warszawy

Kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Jan Stanisław Ciechanowski, 1 lutego 2014 r. wziął udział w obchodach 70. rocznicy wykonania wyroku na SS-Brigadeführera, dowódcę SS i policji w dystrykcie warszawskim, Franza Kutschera.

Uczczono pamięć wszystkich 12 uczestników akcji: Bronisława Pietraszewicza „Lota” (dowódca), Stanisława Huskowskiego „Alego” (zastępca dowódcy), Henryka Humięckiego „Olbrzyma”, Zdzisława Poradzkiego „Kruszynkę”, Michała Issajewicza „Misia”, Bronisława Hellwiga „Bruno”, Kazimierza Sotta „Sokoła”, Mariana Sengera „Cichego”, Zbigniewa Gęsickiego „Juno”, Marię Stypułkowską-Chojecką „Kamę”, Elżbietę Dziębowską „Dewajtis” i Annę Szarzyńską-Rewską „Hankę”. Ostatnimi żyjącymi uczestnikami akcji są Maria Stypułkowska-Chojecka „Kama” oraz Elżbieta Dziębowska „Dewajtis”.

– Spotykamy się po 70 latach w miejscu pokazującym, że Polacy z niewolą się nie pogodzą i odpowiadają wrogowi tak, jak na to zasłużył. Kiedy trzeba było stanąć do walki – nie wahali się. Kutschera myślał, że Warszawa należy do niego, tu skończył swój żywot. Pamiętajmy o naszych bohaterach, pamiętajmy o tych, którzy ponieśli śmierć w tej akcji. Niech pamięć o nich nigdy nie zaginie – powiedział podczas uroczystości Jan Stanisław Ciechanowski.

Maria Stypułkowska-Chojecka „Kama”; przedstawiciel prezydenta, Waldemar Strzałkowski; weterani Armii Krajowej i mieszkańcy Warszawy uczcili poległych przy kamieniu upamiętniającym miejsce akcji. Po złożeniu kwiatów uczestnicy uroczystości przeszli pod ścianę Ambasady Węgier, gdzie wmurowana jest tablica upamiętniająca odwetową egzekucję ludności cywilnej dokonaną 2 lutego 1944 r.

Pietraszewicza „Lota”. Przeprowadzenie akcji w dzielnicy niemieckiej, gdzie stacjonowały liczne oddziały – wydawało się prawie nie-realne. Jak wykazało ponadmiesięczne rozpoznanie, jedynym sensownym momentem zaatakowania Kutschery był jego wjazd samochodem do siedziby dowództwa SS i policji. Atak powinien nastąpić przed samym budynkiem, zanim samochód przekroczy bramę pałacyku.

W akcji miano użyć trzech samochodów. Każdy z kierowców otrzymał rozkaz „oswojenia się” ze swoim autem, wykonując próbne jazdy po mieście. Punkt zbiórki, pobrania broni i wymarszu znajdował się w mieszkaniu Marii Pisarek przy ul. Mokotowskiej. Pierwsza próba ataku 28 stycznia 1944 r. zakończyła się jednak fiaskiem. Tego dnia Austriak nie pojawił się w miejscu zasadzki.

Drugie podejście miało miejsce cztery dni później, o godzinie 8.50. W akcji brało udział 12 osób. Pegazowcy podzielili się na cztery

grupy: wykonawców zamachu, ubezpieczenie, kierowców oraz sygnalizację. Maria-Stypułkowska „Kama” obserwowała wyjście Kutschery z domu przy al. Róż 2. W momencie kiedy jego Opel Admiral ruszał spod kamienicy – przeszła na drugą stronę jezdni Al. Ujazdowskich z przewieszoną przez prawą rękę peleryną. Sygnał ten odebrała Elżbieta Dziębowska „Dewajtis”. Wyciągnęła z teczki białą torebkę i również przeszła na drugą stronę ulicy. Stojąca przy rogu ul. Pięknej (wtedy Piusa XI) Anna Szarzyńska-Rewska „Hanka” przekazała umowny znak do znajdującego się w pobliżu „Lota”. Była godzina 9.10, kiedy dowódca uchylił kapelusza. Był to znak do rozpoczęcia akcji.

Siedzący w zaparkowanym na ul. Pięknej, ale z włączonym silnikiem, Adlerze Triumph-Junior Michał Issajewicz „Miś” – ruszył na przód. Jadąc od strony Sejmu, skręcił w lewo w Al. Ujazdowskie i skierował się prosto na jadącą z przeciwka limuzynę Kutschery. Równocześnie



Maria Stypułkowska-Chojecka „Kama”, uczestniczka wydarzeń sprzed 70 lat, jak co roku była gościem uroczystości



Scena z filmu Ryszarda Bugajskiego FOT. MARTA GOSTKIEWICZ / DYSTYBUTOR MONOLITH FILM

„ (...) jedynym sensownym momentem zaatakowania Kutschery był jego wjazd samochodem do siedziby dowództwa SS i policji

w tym samym kierunku ruszyli szybkim krokiem Stanisław Huskowski „Ali”, Marian Senger „Cichy”, Zbigniew Gęsiński „Juno”,

Zdzisław Poradzki „Kruszynka” oraz Henryk Humięcki „Olbrzym”.

Jadący przepisowo prawym pasem Al. Ujazdowskich „Miś” widział zbliżające się auto Kutschery. Najpierw skręcił na środek jezdni, a chwilę potem na lewy pas. Kierowca generała włączył środkowy, żółty reflektor oznaczający żądanie pierwszeństwa przejazdu i odruchowo zwolnił. „Miś” też. Oba samochody zatrzymały się naprzeciwko siebie. Kiedy Niemiec usiłował objechać – „Miś” docisnął gaz i zablokował limuzynę Kutschery. Nieprofesjonalne zachowanie kierowcy generała, który nie wyczuł zagrożenia, miało go za kilka chwil kosztować życie. W tej chwili do auta esmanów podbiegł „Lot”, a za nim „Kruszynka”. Z bliskiej odległości położyli serią wyskakującego kierowcę i ranili Kutschere. „Miś” pomógł „Kruszynie” wywlec generała. Zanim zaczęli przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu dokumentów, „Miś” dobił go strzałem z pistoletu. Ponieważ Kutschera nie miał przy sobie żadnego dowodu identyfikacji – zabrali mu teczkę. W tym czasie zespół ubezpieczający w składzie: „Olbrzym”, „Cichy” i „Juno”, mając za plecami płot parku Ujazdowskiego, ostrzeliwał gmach komendantury SS oraz pozostałe budynki po drugiej stronie ulicy. Niestety,

mający ich wesprzeć „Ali” nie mógł otworzyć teczek z granatami i wycofał się do jednego z dwóch samochodów, przeznaczonych do ewakuacji po zakończeniu akcji.

Pierwszy postrzał dostał „Lot” – w brzuch. Ranny wycofał się do samochodu i nie był już w stanie powiadomić wszystkich, że akcja jest zakończona. Nie uczynił też tego jego zastępca „Ali”, bowiem siedział już w aucie. W tym momencie Niemcy ranili w głowę „Misia”. Potem oberwał „Cichy” (w brzuch) i „Olbrzym” (w pierś). Po przeciwnej stronie oprócz Kutschery zginęło jeszcze 4 Niemców, a 9 zostało rannych. Po 1 minucie i 40 sekundach wszyscy odjeżdżali wreszcie spod gradu niemieckich kul. To nie było tylko 100 sekund, ale aż 100 sekund.

Kutschera miał zostać zięciem szefa SS Reichsführera Heinricha Himmlera. Wydawałoby się, że jego śmierć przekreśliła ostatecznie plany matrymonialne. Nic bardziej mylnego. Jego córka wzięła udział w makabrycznej ceremonii zaślubin podziurawionego kulami trupa. Tylko nazista mógł skazać własne dziecko na coś takiego.

Akcja „Pegaza” oprócz likwidacji zbrodniarza przyniosła inne, wymierne korzyści. Po dwóch tygodniach od zamachu zaprzestano w Warszawie publicznych egzekucji i terror zelżał. Zastrzelenie kata Warszawy miało też swój wielki wymiar propagandowy. Niestety, wskutek odniesionych ran zmarli „Lot” i „Cichy”. Dwóch pegazowców: „Sokoła” (kierowcy jednego z aut, które ewakuowały bezpośrednich uczestników zamachu) i „Juna” Niemcy dopadli na moście Kierbedzia. Zbyt długo jeździli po mieście autem dziurawym od kul. Wpadli na blokadę. Otoczeni, ostrzeliwali się, aż do wyczerpania amunicji. Skoczyli z mostu do lodowatej zimnej wody i usiłowali płynąć z prądem w kierunku Nowego Miasta. Dosięgły ich niemieckie kule. ■



w Al. Ujazdowskich FOT. ALINA NOWACKA



WOJCIECH LEWICKI

„BURZA” SZŁA OD W

Jeszcze przed wojną województwo wołyńskie odbiegało od reszty obszarów II RP. Ludność polska była tutaj w mniejszości (zaledwie ok. 17%), resztę stanowili Żydzi i żywiol ukraiński (68%), który coraz silniej domagał się prawa do samostanowienia. Gdy wybuchła wojna i dotychczasowy porządek poszedł w rozsypkę, jego rozszczenia stały się sprawą kluczową na tych terenach. Apogeum waśni narodowościowych, „okraszone” krwią niewinnych ofiar, nastąpiło wiosną i latem 1943 r. Władza niemiecka, sprawująca „pieczę” nad tym obszarem, zachowywała się biernie, utrzymując dystans do dziejących się obok niej wydarzeń, niejako zgadzając się na pogromy i mordy.

W 1943 r. polskie podziemie na Wołyniu stanęło więc przed wyjątkowym, nieznanym w innych okręgach AK, wyzwaniem – ochrony polskiej ludności przed eksterminacją. Jedyne zabezpieczeniem, nie zawsze skutecznym, było zgroma-

Siedemdziesiąt lat temu, 16 stycznia 1944 r., powstała pierwsza polska wielka jednostka konspiracyjna – 27. Wołyńska Dywizja Piechoty Armii Krajowej. Można powiedzieć, że jej utworzenie stało się testem planu „Burza” – praktycznym sprawdzianem teoretycznego jak dotąd założenia operacyjnego, zakładającego skoncentrowane wystąpienie zbrojne naszych oddziałów w strefie przyfrontowej. Co ciekawe, ów „egzamin” nastąpił w terenie wyjątkowo ciężkim – objętym waśniami narodowościowymi.

dzenie rodaków w wybranych ośrodkach, osłanianych przez własne oddziały, nazywane samoobroną. Takich miejsc było ok. 100. Do legendy przeszła obrona miejscowości: Przebraże, Huta Stepańska czy Zasmyki.

Tworzenie dywizji

W obliczu zbliżających się wojsk sowieckich komendant Okręgu Wołyńskiego Armii Krajowej, płk Kazimierz Bąbiński „Luboń”, nakazał koncentrację podległych mu oddziałów na południe od Kowla (zgrupowanie „Gromada”) oraz na północ od Włodzimierza Wołyńskiego (zgrupowanie „Osnowa”) – w rejonach stosunkowo silnej polskiej

samoobrony. Niestety, nie wszystkie obwody mogły wykonać to zadanie. Dotyczyło to zwłaszcza wschodnich inspektoratów Równe i Dubno oraz samodzielnego obwodu Sarny, które – czy to z uwagi na wciąż poważne zagrożenie ukraińskie, czy też z powodu nadspodziewanie szybkich postępów Armii Czerwonej – nie dotarły do wyznaczonych rejonów. Niemniej jednak na stosunkowo niewielkim obszarze 16 stycznia 1944 r. po raz pierwszy udało się zgromadzić dość poważne jak na warunki konspiracyjne siły, liczące ok. 6 tys. żołnierzy. Dzień ten jest uznawany za początek istnienia 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej.

Nie od razu jednak dywizja mogła całością sił przystąpić do otwartej walki z Niemcami. Musiała najpierw skonsolidować się i okrzepnąć organizacyjnie. Składała się przecież z kilkudziesięciu oddziałów partyzanckich, które dotąd działały samodzielnie i miały dużą swobodę manewrowania, co w strukturze większej jednostki było nie do pomyslenia. Zupełnie inne doświadczenie miała natomiast ściągnięta „do lasu” konspiracja miejska, której członkowie najczęściej się dotąd nie znali i musieli dopiero „zgrać się” w ramach nowo powstałych plutonów i kompanii. Do formującej się dywizji dołączył też batalion policji pomocniczej (Polnisches Schutzmannschaftsbatallion nr 107) z Macie-

Baza operacyjna

Poważnym problemem była też stosunkowo niewielka „baza operacyjna”. Opanowanym przez polskie oddziały terenom zagrażały garnizony niemieckie, obsadzające nie tylko Kowel i Włodzimierz Wołyński, ale i mniejsze miejscowości wzdłuż linii kolejowej łączącej oba miasta. Poważne niebezpieczeństwo groziło również ze strony UPA, będącej w otwartej walce z wojskami sowieckimi i stopniowo wycofującej się na obszary zachodniego Wołynia. Szczególnie duże jej zgrupowania znalazły się po wschodniej stronie Stochodu, gdzie opanowały wielki kompleks lasów świniarzyńskich, rozdzielając tym samym polskie siły i pozbawiając je bezpośredniej łączności. W związku z tym płk Kazimierz Bąbiński „Luboń”, w swoim pierwszym rozkazie jako dowódca nowo powstałej dywizji, nakazywał:

wcześniejsze pogromy polskiej ludności. W tym samym rozkazie dowódca dywizji wyraźnie przestrzegając: – *Nie odwzajemniamy się w walce mordami kobiet i dzieci ukraińskich. Najbardziej kategorycznie powtarzam zalecenia i rozkazy dane ustnie inspektorom i dowódcom oddziałów partyzanckich, aby nie dopuszczali w walce lub po jej zakończeniu do czynienia krzywdy kobiecie i dziecku ukraińskiemu. Z całą surowością będę pociągał do odpowiedzialności dowódców i żołnierzy, którzy by posunęli się do takich niegodnych czynów.*

W rezultacie od drugiej połowy stycznia do połowy marca, ze zmiennym szczęściem, dywizja toczyła krwawe walki nie tyle o zwiększenie „własnego stanu posiadania”, co o uzyskanie możliwości manewrowych i – jak określa się to w terminologii wojskowej – pozyskanie sze-

OŁYŃNIA



Czołg UPA zdobyty przez oddział polskiej samoobrony w Kupiczowie, grudzień 1943 r. FOT. ARCHIWUM

jowa. Został on zorganizowany jesienią 1943 r. z Polaków-uciekierów ze spalonych wsi, szukających zemsty na Ukraińcach. Szybko władze konspiracyjne skierowały do niego własnych ludzi, którzy w dogodnej chwili mieli zorganizować przejście oddziału wraz z bronią na polską stronę. Tak też się stało; 22 stycznia batalion został zaprzysiężony i rozdzielony kompaniami do poszczególnych batalionów.

– *Zalecam prowadzenie walki z grupami ukraińskimi z całą bezwzględnością i surowymi rygorami, a szczególnie w akcjach odwetowych za rzezie całych polskich rodzin. Dla morderców kobiet i dzieci nie ma litości i pobłażania. Walki tej nie chcieliśmy, pragnąc żyć w sąsiedzkiej zgodzie z ludnością ukraińską Wołynia. Stało się inaczej, nie my winni tej krwi. I nie chodziło tu wcale o jakiś rewanż czy zemstę za*

” Poważne niebezpieczeństwo groziło również ze strony UPA, będącej w otwartej walce z wojskami sowieckimi i stopniowo wycofującej się na obszary zachodniego Wołynia

rokiej „podstawy wyjściowej” do przyszłych działań. Do większych starć z Ukraińcami doszło pod Krawciami, Gnojnem, Szczurzynem, Ośmigowiczami, w Stężarzycach i Ożdziutyczach, a zwłaszcza w lasach świniarzyńskich, które polskim oddziałom udało się w dużej mierze opanować. Z Niemcami walczone natomiast pod Zasmukami, Karczunkiem, w Kalinówce czy Hołobach. By tego było mało, w akcji

zaczepnej przeciw 27. Dywizji miały wziąć udział również oddziały węgierskie – raz, i to z powodzeniem, uczestniczyły nawet w takiej operacji, rozbrajając cały nasz pluton. Gdy zorientowały się jednak, z kim mają do czynienia, nie dość, że zwróciły polskim żołnierzom wolność i broń, to jeszcze dołożyły im skrzynkę amunicji i granatów, po czym odmówiły dalszej walki i wycofały się.

Zasadnicze zadanie

Istotą planu „Burza” nie było jednak opanowanie jakiegoś większego lub mniejszego obszaru. Całej operacji przyświecał zupełnie inny, nadrzędny cel o znaczeniu nie tyle wojskowym, co politycznym. Było nim, co wyraźnie zostało ujęte w rozkazie Komendy Głównej z listopada 1943 r. – podjęcie militarnego współdziałania z wkraczającą na polskie ziemie Armią Czerwoną i powitanie jej w roli gospodarza.

Zwłaszcza na Kresach nie było to zadanie ani łatwe, ani przyjemne. Zbyt świeże były jeszcze wspomnienia krwawych konfliktów z partyzantką sowiecką, a i okres ostatniego miesiąca nie dawał powodów do nadmiernej ufności. Do sztabu dywizji docierały bowiem meldunki dotyczące tragicznego losu kolegów pozostawionych na wschodnich obszarach Wołynia. Świadczy o tym choćby depeza wysłana 15 marca do Londynu: – *Wołyń melduje: 1) Bolszewicy rozbili naszą placówkę w m. Przebrane 12 km na płnc. wsch. od Kierc. Część ludzi aresztowano, dców rozstrzelano. 2) 9 III w Bożyszczu komendanta i trzech ludzi rozstrzelano, około 20 aresztowano i wywieziono do Łucka, kilku powiesili.*

Tymczasem Armia Czerwona zajęła Równe i Łuck, po czym skierowała się w stronę Kowla, gdzie Niemcy zorganizowali silny punkt oporu przygotowany do obrony nawet w okrażeniu; 4 marca w rejonie

Dąbrowa–Zasmyki nastąpiło pierwsze spotkanie oddziału rozpoznawczego kawalerii sowieckiej z polskimi żołnierzami, a dwa tygodnie później rozpoczęły się polsko-sowieckie rozmowy na temat współpracy w walce z Niemcami. O ich wynikach mówi meldunek mjr. Jana Kiwerskiego „Oliwy” (od połowy lutego nowy dowódca 27. DP) wysłany do Warszawy: – *Dnia 26 III rozmawiałem z d-cą armii sow., działającej na kierunku Kowel, gen. Siergiejewem i płk. Charytonowem. Dow. sow. po porozumieniu się z władzami centralnymi chce współpracy z naszą dywizją i stawia następujące warunki: 1) Całkowite podporządkowanie się bojowe d-twu sowieckiemu tu i za Bugiem. 2) Uznają, że jesteście dywizją polską, która ma swoje władze w Warszawie i w Londynie. 3) Dywizja może bez ograniczenia utrzymywać łączność ze swoimi władzami. 4) Mamy się przeorganizować z partyzantki na normalną dywizję wojskową. 5) D-two sow. wyklucza pozostawienie na tyłach jakichkolwiek oddziałów partyzantkich. 6) W zamian otrzymamy pełne wyposażenie należne dywizji w broń, amunicję, artylerię, sprzęt motor. i zaopatr.*

Jeszcze zanim powyższe porozumienie zostało zawarte, polskie oddziały, współdziałając z Armią Czer-

woną, zaatakowały Turzysk i Turopin, przecinając połączenie kolejowe Kowla z Włodzimierzem Wołyńskim. Później, po przegrupowaniu, dywizja uczestniczyła w walkach na południowy zachód od Kowla. Jej zadaniem było powstrzymanie natarć niemieckich po osi Luboml–Czmykos–Staweczki–Jagodno–Mokrzec, mających na celu poszerzenie dostępu do zagrożonej twierdzy i uderzenie na skrzydło wojsk sowieckich. Równocześnie dywizja atakowana też była od południa z rejonu Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie znajdował się silny garnizon niemiecki.

W drugiej połowie kwietnia, po trzech tygodniach zaciętych walk, stało się jasne, że polska dywizja nie wytrzyma dłużej coraz silniejszych natarć wojsk niemieckich. Tymczasem dowództwo sowieckie nie zgodziło się na jej wycofanie i zajęcie nowej linii obronnej na wschodnim brzegu Turii. Doprowadziło to do okrążenia polskich oddziałów w lasach mosurskich. Osamotnionej dywizji nie pozostało nic innego, jak tylko pozostawić tabory i przebijać się na północ. Nie było to jednak zadanie łatwe. Do pokonania była umocniona linia kolejowa Kowel–Lublin, po której jeździł niemiecki pociąg pancerny.



Sztab 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty. Stoją w pierwszym rzędzie od lewej: ppor. Lucjan Słowicki „Buras”, ppor. Andrzej Buchman „Korsak”, kpt. Tadeusz Sztumberk-Rychter „Zegota”, ks. kapelan Antoni Dąbrowski „Rafal” (z psem Morusem), płk dypl. Jan Kiwerski „Oliwa”, por. Zbigniew Twardy „Trzask” i por. Mikołaj Bałysz „Zagłoba”. Swiniaryn, marzec 1944 r. FOT. ARCHIWUM



Por. Zbigniew Twardy „Trzask” odbiera z rąk plk. Jana Kiwerskiego „Oliwy” proporzec ufundowany przez społeczeństwo Kowla dla III bat. 50. pułku piechoty AK. Świniarzyn, marzec 1944 r. FOT. ARCHIWUM

W Lubartowie 25 lipca odbyło się spotkanie mjr. Tadeusza Sztumberk-Rychtera „Żegoty” (szef sztabu 27. DP) z gen. Bakanowem, dowódcą 29. gwardyjskiego Korpusu Piechoty. Uzgodniono na nim przyszłe wspólne działania w kierunku na Warszawę. Jednocześnie sowiecki generał wyraził życzenie osobistego poznania dowódcy dywizji oraz dokonania przeglądu wojska. Ustalono, że polskie oddziały odbędą przed nim defiladę w Lubartowie.

Jeszcze tego samego dnia po południu, na zaproszenie gen. Bakanowa, do Skrobowa udało się całe dowództwo dywizji. Brakowało tylko mjr. Jana Szatowskiego „Kowala” (dowódca piechoty dywizyjnej), który miał przygotować oddziały do przeglądu i przyprowadzić je do Lubartowa. Gdy po prezentacji Sowietci spostrzegli jego brak, wysłano samochód, aby i on był podczas spotkania. Kiedy wszyscy byli już w komplecie, gen. Bakanow przedstawił ultimatum, w którym zażądał złożenia przez jednostkę broni. W tym czasie oddziały dywizji pod dowództwem kpt. Jana Józefczaka „Hrubego” maszerowały już w stronę Lubartowa. Na wysokości Skrobowa kolumna została zatrzymana i otoczona przez sowiecką piechotę, czołgi i artylerię. Chwilę później na niewielkim placu polscy żołnierze musieli złożyć broń. O godz. 23.45 radiostacja polowa dywizji nadała „otwartym tekstem” do Londynu: – *Nr 00 Ekspres, Depesza z dn. 25.VII. Sowietci nas rozbrajają – 27 d.p.* ■

Źródła:

Michał Fijałka „27. Wołyńska Dywizja Piechoty AK”, Warszawa, 1986

Władysław Filar „Burza» na Wołyniu”, Warszawa 1997

Józef Turowski „Pożoga. Walki 27 Wołyńskiej Dywizji AK”, Warszawa 1990

” Wykrwawione i wyczerpane polskie oddziały 26 kwietnia dotarły do lasów szackich. Na zawsze opuściły tym samym swój rodzinny Wołyń, pozostawiając na nim kilkuset poległych kolegów

Ostatnia defilada

Wykrwawione i wyczerpane polskie oddziały 26 kwietnia dotarły do lasów szackich. Na zawsze opuściły tym samym swój rodzinny Wołyń, pozostawiając na nim kilkuset poległych kolegów. Później szlak bojowy dywizji wiódł przez Polesie i Lubelszczyznę i zakończył się opanowaniem 22 lipca 1944 r. Lubartowa i Kocka. Tu nastąpił ostatni, dramatyczny akt w dziejach jednostki.



Oficerowie 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty. Od lewej: rtm. Józef Ostoja-Gajewski „Tomek”, mjr Tadeusz Sztumberk-Rychter „Żegota”, por. Roman Romaszkan „Maria” i ppor. Ryszard Pietasz „Patysz”. Kozłówka pod Lubartowem, lipiec 1944 r. Kilka dni później wszyscy oni zostali zaproszeni przez sowieckie dowództwo do Skrobowa i tam rozbrojeni FOT. ARCHIWUM

KATARZYNA ZIENTARA-MAJEWSKI

OPERACJA „ADOLPHUS”

Noc z 15 na 16 lutego 1941 r. Na pokładzie lecącego do Polski brytyjskiego dwusilnikowego samolotu Whitley NF-B znajdowało się trzech skoczków: dowódca misji, kpt. Stanisław Krzymowski „Kostka”; por. Józef Zabielski „Żbik” oraz kurier polityczny, Czesław Raczkowski „Włodek”. Bombowiec pilotował Squadron Leader (major) Francis John Baptist Keast. Załogę stanowili Brytyjczycy. Samolot dysponował niewielką prędkością przelotową ok. 300 km na godzinę i zasięgiem w granicach 2700 km. Pierwszemu, doświadczalnemu przerzutowi cichociemnych do kraju nadano kryptonim „Adolphus”.

Byla to pierwsza operacja zrzu-
towa w okupowanej Europie
i eksperyment nie tylko dla za-
łogi, ale również dla bazy (zarówno
Polaków, jak i Brytyjczyków) oraz
placówek odbiorczych w kraju. Od
dłuższego czasu trwała intensyw-
na wymiana depe-
sz między kome-
ndantem głównym Związku Walki
Zbrojnej oraz podległym mu w Pols-

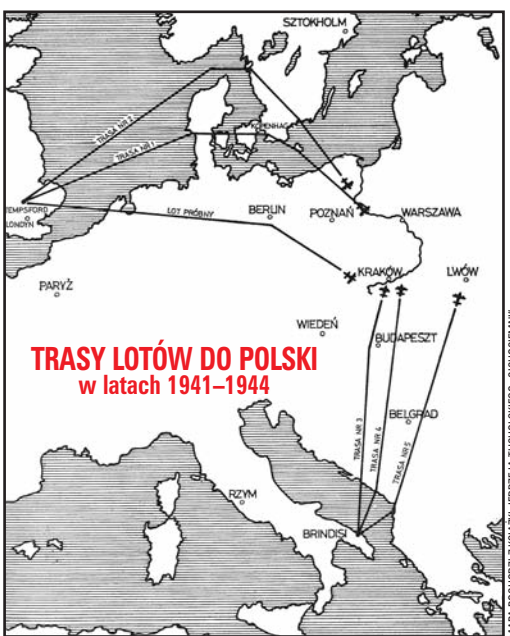
ce dowódcą Sił Zbrojnych w Kraju. W radiogramach z pierwszej po-
łowy lutego 1941 r. gen. Stefan Ro-
wecki i gen. Kazimierz Sosnkowski
uzgadniali z najwyższą dokładnością
każdy detal i wszystkie szczegóły
operacji. Zdecydowano, że punk-
tem odbiorczym zrzutków będzie
placówka Kobyła Wieś, w okolicach
Włoszczowy na Kielecczyźnie. Sy-
gnałem nadlatującego samolotu
miały być „dwie szpryce, przerwa
i jedna szpryca”. Placówka powinna
wówczas odsłonić trzy białe światła
w trójkącie o boku 20 m z wierz-

chołkiem skierowanym na wschód.
Skoczek po wylądowaniu miał użyć
hasła „Janek”, natomiast odzewem
był „Adam”. Cała operacja została
niezwykle dokładnie przygotowana.
Na wypadek nieudanego zrzutu,
poza wyznaczonym punktem, obo-
wiązywały podobne hasła: „Przy-
chodzę do Janka”, odpowiedź: „Czy
Adam?”. Placówka miała dyżurować
w godzinach od 23 w nocy do 3 rano
dnia następnego. Nakazano również
przygotować się żołnierzom ZWZ
na przyjęcie dwóch ładunków po
200 kg i dwóch po 100 kg.

Ryzykowna trasa

15 lutego „Kostka”, „Żbik” i „Włodek” zameldowali się na lotnisku. Brytyjski bombowiec wzbił się w powietrze kilkanaście minut po godzinie 18.

– *Weszliśmy do samolotu oblatowani i ciężcy jak kloce. Mała lampka oświetlała nas ledwo, ledwo. Kładziemy się na podłodze. Kiedy maszyna oderwała się od ziemi i równo płynęła w powietrzu, z tą chwilą rozpoczęliśmy naprawdę drugie, nowe życie. Pamięć cofa się jak samochód nagle pchnięty zderzeniem. Przeszliśmy przed lotem tylko sześciotygodniowy kurs. Właściwie nie mieliśmy szkolenia. Myśl goni myśl.*



Jesteśmy pierwsi zrzutkowie – wspominał po latach Józef Zabielski.

Tymczasem wielogodzinny lot z bazy w Wielkiej Brytanii do okupowanej Polski był wyjątkowo niebezpieczny – przebiegał bezpośrednio nad Niemcami. Czynnikiem decydującym o takim wyborze było przede wszystkim paliwo. Co prawda obrana trasa wiązała się z wielkim ryzykiem, ale nie było wyboru – była najkrótsza. NF-B Whitley obrał kurs na wschód, poprzez południowe tereny Berlina, a potem Wrocław i Częstochowę, aż w oko-

lice Włoszczowy. Około 7,5 km na południowy zachód od tej niewielkiej miejscowości, zgodnie z założeniami, powinna znajdować się placówka odbiorcza. To tam należało dokonać zrzutu spadochroniarzy.

Pierwsi zrzutkowie wspominają, iż podczas lotu rozbrzmiewały im w głowie słowa gen. Sosnkowskiego: – *Idziecie jako straż przednia do Kraju. Macie udowodnić, że łączność z Krajem jest w naszych warunkach możliwa – przez całą trasę przyswiecały nam te słowa* – wspominał „Żbik”. Opowiadał też o swoich obawach, że może z tej wyprawy nie wrócić. Lot był wyjątkowo niewygodny, a skoczkowie mocno

“ *Weszliśmy do samolotu oblatowani i ciężcy jak kloce. Mała lampka oświetlała nas ledwo, ledwo. Kładziemy się na podłodze. Kiedy maszyna oderwała się od ziemi i równo płynęła w powietrzu, z tą chwilą rozpoczęliśmy naprawdę drugie, nowe życie*

przemarznięci. – Do Whitleya nie tylko wylotem, ale wszystkimi porami pchało się kontynentalne powietrze. Przychodzi do głowy dziwaczna myśl. Uczono nas na wszystkich kursach skakać przez dziurę w dnie samolotu. A tu raptem kiedy mamy za kilka godzin odbyć nasz właściwy skok bojowy, okazuje się, że ten samolot nie ma dziury w podłodze. Kiedy przekroczyliśmy granicę Polski, serce waliło nam w piersiach tak jakby pęknąć chciało. Podbiega pod samo gardło. Jesteśmy bardzo wzruszeni.

Józef Zabielski zapamiętał też słowa jednego z brytyjskich członków załogi, który mniej więcej po 6 godzinach lotu, uderzając go ze wzruszeniem w łopatkę, wykrzyknął: – *You are in Poland. Good luck* (Jesteś w Polsce. Powodzenia). Następnie po otrzymaniu sygnału „przygotuj się” otworzyły się drzwiczki Whitleya, a Józef Zabielski usłyszał głośnie „go”. Wskoczył jako drugi, zaraz po „Kostce”. Jedyne, co wówczas zapamiętał, to straszliwie silny pęd powietrza. A potem – *nastąpił styk z ziemią. Nogi wbiły się w lodową skorupę osiadłą na podmokniętych łąkach. (...) Poczulem nieznośny ból w nogach. Gdzie jestem? Nie wiem. Jestem pewien, że nie jestem na placówce. Tu nikt na nas nie czeka, nikt nie pomoże, nic nie ułatwi* – wspominał. Jak się później okazało, złamał kości śródstopia.

Tymczasem w umówionym punkcie odbiorczym żołnierze Związku Walki Zbrojnej czekali na skoczków zgodnie z wytycznymi w godzinach między 23 w nocy a 3 rano dnia następnego. Jednak przez cztery długie godziny wyczekiwania nic się nie działo. Nad ich głowami panowała niczym niezmacona cisza. Już wtedy podejrzewali, że operacja nie przebiegała zgodnie z planem.

Skok na dziko

Tymczasem po wielu godzinach lotu bombowiec z cichociemnymi na pokładzie najpierw wpadł w ogień przeciwlotniczy, następnie natknął się na patrolujące niebo niemieckie myśliwce, by na końcu przedzierać się przez silną śnieżycę. Pilot osiągnął granicę zasięgu, nie trafiając na placówkę w okolicach Włoszczowy. Podjął decyzję o zrzucie skoczków w ciemno, w okolicach wsi Dębowiec na terenie Śląska Cieszyńskiego, włączonego do III Rzeszy. Już następnego dnia, 16 lutego 1941 r., gen. Sosnkowski depeszował do gen. Roweckiego z pilną informacją, że samolot nie

trafił na punkt odbiorczy koło Włoszczowy i o godzinie 9.30 cichociemni wyskoczyli w okolicy Słomniki-Proszowice. Nakazywał też też poszukiwanie skoczków w wymienionym rejonie.

Pomimo że skok odbył się na dziko w odległości ok. 130 km od umówionej placówki odbiorczej – wszyscy zrzutkowie dotarli do miejsca przeznaczenia, choć czasem z pewnymi trudnościami. Kurier

towiu dwa zabrudzone kombinezony lotnicze i spadochrony.

Pierwszy lot sukcesem

Pierwszy, eksperymentalny lot łącznikowy do kraju zakończył się sukcesem. Trwał 11 godz. i 45 min, a załoga wykorzystała maksimum zasięgu. Tak naprawdę powróciła do Anglii dzięki pomyslnemu wiatrowi, gdyż po wylądowaniu w samolocie było zaledwie 50 litrów paliwa.

– *Doświadczenia pierwszego lotu łącznikowego wykazują, że loty do Polski są realne, ale przy użyciu samolotów nowoczesnych, o zasięgu 1500–2000 mil i szybkości 200–250 mil na godz.* – pisał do Naczelnego Wodza gen. Sosnkowski. Podkreślał również wyjątkową trudność w realizacji lotów do kraju na samolotach brytyjskich.

Pomimo wielu interwencji, Churchill nie chciał się zgodzić na usz-



Szkolenie strzeleckie w Wielkiej Brytanii. Z pistoletem maszynowym sten por. Jan Serafin „Czerchawa”, dalej pchor. Otton Wiszniewski „Topola” FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

Czesław Raczkowski wpadł podczas przekraczania granicy Generalnego Gubernatorstwa. Aresztowany przez patrol Grenzschutz został osadzony w więzieniu w Wadowicach. Dzięki doskonałemu wyszkoleniu, a także perfekcyjnie przygotowanej legendzie i dokumentom uznano „Włodka” za zwykłego przemytnika. Skazano go na trzy miesiące więzienia i karę grzywny.

W ręce Niemców (zgodnie z ich meldunkiem o lądowaniu spadochroniarzy pod Cieszynem z dnia 16 lutego 1941 r.) wpadły 4 zasobniki i znajdujące się w nich 4 radiostacje, 2 pistolety maszynowe z amunicją, sprzęt świetlny-sygnalizacyjny, środki wybuchowe, materiały propagandowe w języku polskim i angielskim oraz poczta. Trzy dni później Niemcy odnaleźli w si-

Ten zapas wystarczyłby na nie więcej niż 10–15 min lotu.

Kilka dni później, 1 marca 1941 r., gen. Kazimierz Sosnkowski w tajnym raporcie przeznaczonym do rąk własnych Naczelnego Wodza, gen. Władysława Sikorskiego, napisał o konieczności zawieszenia dalszych lotów do kraju.

Już 26 lutego bryg. Collin Gubins ze Special Operation Executive (Kierownictwo Akcji Specjalnych) zakomunikował gen. Sosnkowskiemu o brytyjskiej odmowie użyczenia nam nowoczesnego i przede wszystkim dalekosiężnego samolotu oraz o potrzebie zawieszenia dalszych lotów aż do października 1941 r. Według nich pierwszy lot zakończył się sukcesem tylko ze względu na sprzyjające warunki atmosferyczne.

” Szukano kandydatów wyróżniających się inteligencją, obdarzonych refleksem, sprawnych fizycznie, zdolnych do pokonywania wszelkich przeszkód i gotowych do walki w niezwykle ciężkich warunkach – konspiracji i okupacyjnego terroru

czuplenie brytyjskiego lotnictwa bombowego, nawet o kilka samolotów. Sosnkowski przekonywał gen. Sikorskiego do zakupu lub uzyskania od rządu Stanów Zjednoczonych – *kilku samolotów specjalnych wraz ze sprzętem pomocniczym dla zorganizowania bazy.*

Zdaniem komendanta głównego ZWZ decyzja rządu brytyjskiego była zrozumiała z punktu widzenia ich interesów, w obliczu ogromnego wysiłku ponoszonego na walkę lotniczą z Niemcami. Przekonywał jednak, że wkład Polski i wykonywany przez żołnierzy ZWZ wzmożony sabotaż na terenach okupowanych przez Rzeszę – powinien usprawiedliwiać pomoc w realizacji lotów do kraju ze strony lotnictwa brytyjskiego.

Wznowienie lotów

Tymczasem Polacy, nie ustając w pertraktacjach dotyczących wznowienia lotów, na dobre rozkręcili rekrutację ochotników. Szukano kandydatów wyróżniających się inteligencją, obdarzonych refleksem, sprawnych fizycznie, zdolnych do pokonywania wszelkich przeszkód i gotowych do walki w niezwykle ciężkich warunkach – konspiracji i okupacyjnego terroru. Każdy błąd

wiem przepisy konwencji haskiej ani genewskiej.

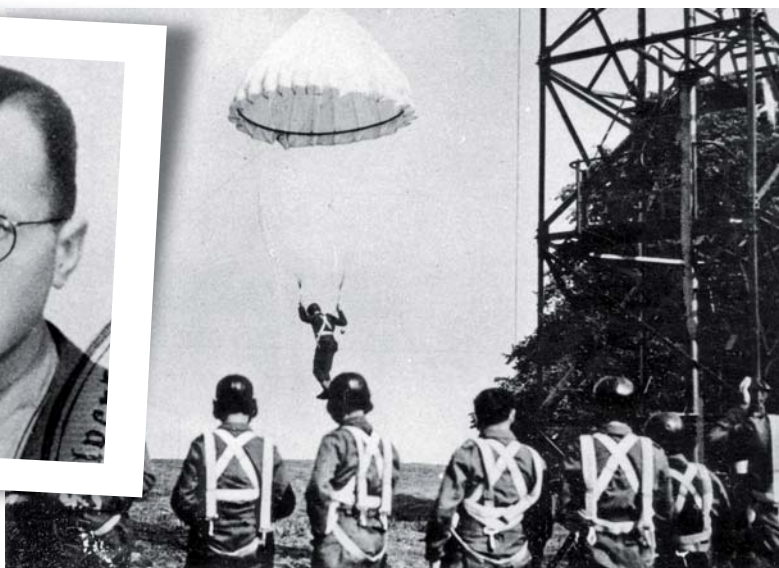
– *Żaden z cichociemnych nie reprezentował typu awanturnika, żaden z nas nie był najemnikiem, któremu wystarczają pieniądze, broń i możliwość zabijania. Wszyscy mieliśmy natomiast jeden wspólny cel: bezpardonową walkę z okupantem. Najdobitniej świadczą o tym straty. Ponad jedna trzecia cichociemnych przetrzuconych do Polski bądź poległa*

samolotów. Po kapitulacji Francji w czerwcu 1940 r. sprawa łączności powietrznej z Polską nie doczekała się realizacji.

Dopiero Brytyjczycy zaofiarowali nam konkretną pomoc. Sprawą zajął się Oddział VI Sztabu Naczelnego Wodza, przemianowany z czasem na Oddział Specjalny, a ze strony brytyjskiej Special Operation Executive. W zasadzie już na przełomie 1939 i 1940 r. rozpoczęto re-



Cichociemni: por. Józef Zabiński „Żbik” i mjr Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz”, żołnierze Armii Krajowej. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)



Skoki ćwiczebne z wieży spadochronowej. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

czy nierozważny krok mógł ich kosztować życie. Kandydatów poddawano intensywnemu szkoleniu w brytyjskich ośrodkach tzw. STS (Special Training School).

Codziennie przeprowadzano intensywne treningi fizyczne, kursy spadochronowe, walki wręcz i cichego zabijania, podrabiania dokumentów, minierki, łączności, dywersji i sabotażu, wywiadu i strzelania ze wszystkich rodzajów broni. Każdy kursant był również zaznajamiany z okupacyjnymi realiami i zasadami walki konspiracyjnej.

Przyszłym skoczkom („ptaszkom”) tworzone były legendy życiowe, która była niezbędna do „aklimatyzacji” w kraju. Cichociemni swoją pracę wykonywali zgodnie z przyświecającą im dewizą – w ciszy i ciemności. Nie chroniły ich bo-

wojowej, w bezpośredniej walce, bądź została zamęczona w katowniach gestapo, obozach koncentracyjnych i więzieniach – wspominał Tomasz Kostuch.

Pomysł zrodził się wcześniej

Pomysł utworzenia mostu lotniczego i przetrzutu skoczków, zaopatrzenia i materiałów dywersyjnych między okupowaną Polską a bazą w Wielkiej Brytanii zrodził się znacznie wcześniej. Na przełomie 1939 i 1940 r. w Paryżu kpt. Maciej Kalenkiewicz i kpt. Jan Górski (zresztą obaj zostali zrzućeni później do Polski) wystąpili z pomysłem realizacji tego typu lotów łącznikowych. Propozycje były na tyle konkretne, że rozpoczęto rozmowy z francuskim dowództwem. Jednak Francuzi nie byli chętni do oddania do naszej dyspozycji swoich

krutację ochotników do pracy konspiracyjnej w Polsce.

Na ok. 2500 szkolonych ochotników, do Polski zrzućono jedynie 316 skoczków; 9 zginęło podczas lotu lub skoku, 26 poniosło śmierć podczas walki z okupantem, 27 zamordowało gestapo, 8 zginęło w obozach koncentracyjnych, 10 natomiast odebrało sobie życie, a 18 z nich poległo w Powstaniu Warszawskim. ■

Źródła:

„Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945”, t. I, Londyn 1970
 „Drogi Cichociemnych”, Warszawa 1993
 Tomasz Kostuch, „Podwójna pętla”, Warszawa 1988
 Jędrzej Tucholski, „Cichociemni”, Warszawa 1985



Zdjęcia udostępniło
 Narodowe Archiwum Cyfrowe
 www.nac.gov.pl



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

CICHOCIEMNI „DRUGIEJ KLASY”

W artykule „Operacja »Adolphus«” opisany został pierwszy skok spadochronowy do Polski. Uczestniczyło w nim trzech żołnierzy. Mogłoby się wydawać, że wszyscy oni z całą pewnością zasługują na miano cichociemnych. Nic bardziej złudnego. Jak się okazuje, jeden z owych spadochroniarzy nie figuruje na ogólnodostępnej – drukowanej w wielu publikacjach, jak i dostępnej w internecie – liście członków tej wielce zasłużonej formacji. Nie ma go wśród 316 cichociemnych.

Czesław Raczkowski, „Włodek”, „Orkan” skakał do kraju jako kurier polityczny. Nie oznacza to jednak, że nie był żołnierzem. Posiadał stopień bombardiera (w artylerii odpowiednik starszego szeregowego) i nikt zapewne nie zwolnił go ze składanej wcześniej przysięgi. Tak samo jak inni – uczestniczył w kursie spadochronowym, a tuż przed skokiem, 11 lutego 1941 r., złożył specjalną przysięgę na wierność „Podziemnemu Państwu”. A jednak nie ma go na liście cichociemnych, jego nazwiska nie wryto też na pomniku im poświęconym, pół roku temu odsłoniętym niedaleko Sejmu. Czyżby na to nie zasłużył?



Pierwowzorem znaku spadochronowego była grafika Mariana Walentynowicza do wojennego wydania książki Józefa Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy” FOT. ARCHIWUM AUTORA

Po skoku, który omyłkowo nastąpił pod wsią Dębowiec (ok. 140 km od planowanego miejsca zrzutu), Czesław Raczkowski samotnie przedzierał się do stolicy. Aresztowany na granicy Generalnego Gubernatorstwa, kilka miesięcy spędził w więzieniu w Wadowicach. Po wykupieniu, dopiero na początku czerwca dotarł wreszcie do Delegatury Rządu w Warszawie, co zakończyło jego zadanie. W przeciwieństwie do wielu innych żołnierzy skaczących z misjami politycznymi – nie dostał jednak przydziału bojowego. Ponownie

wysłany do Londynu jako kurier, został aresztowany w Budapeszcie. Przebywał w kilku więzieniach, a na koniec w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen.

Nie tylko Czesław Raczkowski został wykluczony ze spisu cichociemnych. Takich skoczków jak on było 29. Większość z nich stanowili oficerowie, którzy po wykonaniu misji politycznej dostawali przydziały bojowe w ramach AK. Wyjątkiem, by nie powiedzieć ewenementem, był węgierski radiotelegrafista Iván Szabó „Hun”, przeszkolony w naszym VI Oddziale Sztabu, a po zrzucie „przemycyony” do Budapesztu.

Odnaką cichociemnych jest wizerunek pikującego orła. Została ona zaprojektowana przez Mariana Walentynowicza (twórcę „Koziołka Matolka”) i ustanowiona rozkazem gen. Władysława Sikorskiego z dnia 20 czerwca 1941 r. Miała ona dwie kategorie: – *Ustalam dwa rodzaje Znak Spadochronowego: bojowy i zwykły* – pisał Wódz Naczelny. – *Bojowy znak spadochronowy różni się od zwykłego tym, że orzeł ma złoty dziób i pazury. (...) Prawo noszenia znaku bojowego mają tylko żołnierze, którzy brali udział w bojowej akcji spadochronowej.*

Bez wątpienia wszystkim skoczkom, którzy drogą lotniczą powrócili do Polski, należy się złota odznaka spadochronowa. Również tym, którzy nie zostali uwzględnieni na liście cichociemnych. Choć formalnie wykonywali oni misję władz cywilnych, a co za tym idzie: nie stanowili wsparcia kadrowego Sił Zbrojnych w Kraju – w zdecydowanej większości byli jednak żołnierzami i z całą pewnością należy im się to zaszczytne miano.

Wojciech Lewicki



Zdjęcie udostępniło
Narodowe Archiwum Cyfrowe
www.nac.gov.pl

ZBIGNIEW ZIELIŃSKI

Kombatanci odchodzą – zostają pomniki

Nie tak dawno pożegnaliśmy z najwyższymi honorami śp. gen. Stefana Bałuka „Starbę”, jednego z najbardziej zasłużonych kombatantów. W swym życiu nie tylko walczył o wolność i niepodległość Polski. Po wojnie, mimo wielkich przeciwności politycznych, ponosił trud upamiętnienia czynu zbrojnego największej w krajach okupowanej Europy konspiracyjnej organizacji wojskowej, jaką była Armia Krajowa.

Jeszcze za czasów, kiedy prymasem Polski był kard. Stefan Wyszyński, przy Kurii Metropolitalnej powstało tajne „stowarzyszenie” kombatantów pod przykrywką duszpasterstwa im poświęconego. W jego skład wchodziło nie tylko księża biskupi (zarówno kard. Stefan Wyszyński, a po jego śmierci kard. Józef Glemp nie brali udziału w pracach tej organizacji), ale i przedwojenni generałowie i wyżsi oficerowie Wojska Polskiego i Armii Krajowej, m.in.: gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, płk Kazimierz Pluta-Czachowski, płk Jan Zientarski, płk/gen. Franciszek Kamiński, płk/gen. Wojciech Borzobohaty, płk/gen. Antoni Heda, gen. Stanisław Skalski, płk Witold Łokuciewski, Adam Bień (były minister Delegatury Rządu na Kraj, uczestnik procesu moskiewskiego), Irena Rowicka (córka gen. Stefana Rowec-

kiego), Stanisław Rowecki (brat gen. Stefana Roweckiego) oraz wielu innych kombatantów i działaczy społecznych. Później dołączyło do tej organizacji czterech oficerów tzw. cichociemnych, tj. Stefan Bałuk, Stanisław Jankowski, Bronisław Czeczak-Górecki i Ferdynand Serafiński. Sekretarzem był Zbigniew Zieliński.

Zebrania odbywały się w różnych miejscach – w Kurii Metropolitalnej, Biurze Odbudowy Warszawy, Naczelnej Organizacji Technicznej, Ministerstwie Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego (ob. Ministerstwo Środowiska), Dyrekcji Lasów Państwowych, a nawet w ZBoWiD. W czasie tych spotkań omawiano zagadnienia dotyczące przemian ustrojowych zachodzących w Polsce, zastanawiano się nad sposobami pomocy dla ruchu Solidarność. Poruszano zarówno tematy dotyczące

spraw współczesnych, jak i przyszłości. Dlatego obok doraźnej pomocy chorym i biednym czy umieszczenia w kościołach (bo w miejscach publicznych było to niemożliwe) tablic upamiętniających minione walki, dyskutowano też o reorganizacji struktur związków kombatanckich czy nawet o utworzeniu Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Jednym z istotnych tematów była budowa pomnika Armii Krajowej w Warszawie. Do realizacji tego przedsięwzięcia zawiązał się ścisły zespół organizacyjny, w skład którego weszli: ks. bp Zbigniew Kraszewski (jako przewodniczący) oraz Stefan Bałuk i Zbigniew Zieliński. Początkowo zbierane na ten cel fundusze wpływały do kasy pancerniej Kurii Metropolitalnej. Dopiero w 1989 r. – po decyzji prymasa Józefa Głępa o powołaniu Komitetu Honorowego Budowy Pomnika Mauzoleum Armii Krajowej oraz po rejestracji w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie – te zasoby pieniężne (w tym złote monety) protokolarnie zostały przeliczone i przekazane władzom stowarzyszenia. Od tej

pory nową siedzibą Komitetu i Zarządu budowy pomnika stała się siedziba Wspólnoty Polskiej przy Krakowskim Przedmieściu 64, której prezesem był marszałek Senatu, prof. Andrzej Stelmachowski, bardzo aktywnie wspierający naszą działalność.

Rodzi się pytanie: dlaczego zmieniono nazwę „Pomnik Armii Krajowej” na „Pomnik Mauzoleum Armii Krajowej”? Otóż według założeń do rozpisanego przez SARP (Stowarzyszenie Architektów Rzeczypospolitej Polskiej) konkursu urbanistyczno-architektonicznego składać się on miał z dwóch części – mauzoleum (w którym wymieniono by miejsca najcięższych walk, złożono urny z pól bitewnych i wyszczególniono najważniejsze struktury organizacyjne AK) oraz monumentalnej, tj. samego pomnika. Wtedy wystosowano też odezwę następującej treści:

Do Polaków w kraju i za granicą – RODACY

Po pięćdziesięciu latach fałszu i przemilczania, nadszedł wreszcie czas, że mamy możliwość uczcić i utrwalić pamięć o tych wszystkich żołnierzach Armii Krajowej – największej na świecie armii podziemnej, która w okresie II Wojny Światowej walczyła o wolność i niepodległość naszej ojczyzny.

Zaciekle tropieni i zwalczani przez okupantów, bezlitośnie mordowani, zsyłani do więzień, obozów i łagrów – byli naszą dumą i nadzieją. Ich prochy i kości spoczywają w tysiącach mogił oraz w wielu bezimiennych miejscach na naszej ziemi i na obczyźnie.

Zbudujemy w Warszawie pomnik, który po wszystkie czasy utrwali ich imię – Pomnik Mauzoleum Armii Krajowej.

Dnia 30 marca 1990 r. – Sąd Wojewódzki w Warszawie dokonał rejestracji Stowarzyszenia pn.: KOMITET BUDOWY POMNIKA MAUZOLEUM ARMII KRAJOWEJ.

W dniu 23 kwietnia 1990 r. – decyzją naczelnego Architekta Warszawy,

Komitet otrzymał lokalizację pomnika w Ogrodzie Saskim na tzw. Osie Saskiej. Projekt Pomnika zostanie wyłoniony drogą konkursu. Wpłaty na rzecz Pomnika prosimy dokonywać na konto...

Zazwyczaj otrzymywaliśmy bardzo pozytywne i entuzjastyczne odpowiedzi i dotacje. Niestety, należy nadmienić, że przeciwko nam – tj. Komitetowi Honorowemu, jak i Zarządowi Stowarzyszenia – występowały niektóre związki kombatanłów, oskarżając nas o samowolne

W 1999 r. pomnik został uroczystie odsłonięty i poświęcony przez Ojca Świętego Jana Pawła II. Hołd Armii Krajowej złożyło przed nim wielu prezydentów i znaczących osobistości z kraju i zagranicy. Ponadto Sejm podjął uchwałę o ustanowieniu dnia 27 września jako święta powstania Podziemnego Państwa Polskiego. Od tej pory – zarówno w oficjalnych wystąpieniach, jak i potocznym nazewnictwie – monument nazywano pomnikiem Polskiego Państwa Podziemnego i Ar-



Od lewej: doradca ministra spraw zagranicznych, Roman Guła; prezes honorowy Komitetu, ks. bp Zbigniew Kraszewski; przewodniczący Zarządu Stowarzyszenia, Stefan Bałuk; wiceprzewodniczący Zbigniew Zieliński – protokólarnie przejęcie darów na budowę pomnika Armii Krajowej FOT. ARCHIWUM AUTORA

działanie. Odpowiadaliśmy wówczas, że dotychczas sami nic nie uczynili w tym kierunku – więc my podjęliśmy taką decyzję, co doprowadziło do rejestracji naszego Stowarzyszenia.

Pierwszy konkurs urbanistyczno-architektoniczny nie został rozstrzygnięty. Wystąpiliśmy więc do władz Warszawy o zmianę lokalizacji (z Ogródu Saskiego w rejon Sejmku) i do sądu o zmianę nazwy na „Komitet Budowy Pomnika Armii Krajowej”. Uzyskaliśmy poparcie marszałków Sejmu i Senatu, Stowarzyszenia Wspólnota Polska, ministra obrony narodowej i sekretarza stanu ds. kombatanłów i osób represjonowanych.

Warto w tym miejscu zauważyć, że w czasie okupacji w żadnym z dokumentów nie użyto nazwy Polskie Państwo Podziemne. W Londynie znajdował się Rząd Polski na Uchodźstwie i Delegatura Rządu na Kraj ze swoimi komórkami organizacyjnymi w okupowanej Polsce.

Podobna sytuacja z niezbyt precyzyjnym, potocznym nazewnictwem dotyczy też tzw. pomnika Powstania Warszawskiego. Otóż w okresie PRL-u dawny ZBoWiD podjął się jego budowy pod oficjalną, zarejestrowaną nazwą: pomnik Bohaterów Powstania Warszawskiego. ■

AGNIESZKA
KUCHCIŃSKA-KURCZ

Eutanazja – zbrodnia w Hartheim

Polskie śledztwo w sprawie Hartheim zakończyło się w czerwcu 2009 r. Ustalono, że w latach 1940–1944 zamordowano tam ponad 1000 Polaków – znaleziono dane 1134 osób. Tymczasem niedawno w archiwum szczecińskiego IPN odnaleziono nową, nieznaną wcześniej listę osób zamordowanych w Hartheim. Jest na niej 458 polsko brzmiących nazwisk i ponad 1000 innych.

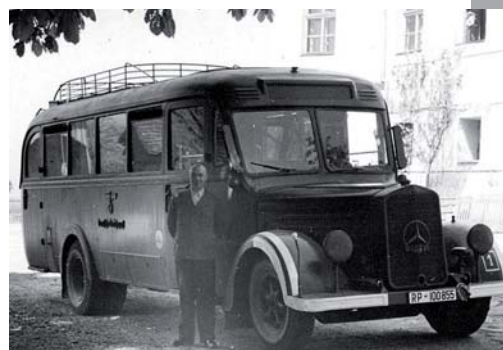
Renesansowy zamek Hartheim, w Alkoven, w Górnej Austrii, nieopodal Linzu. Od 1896 r. siedziba Krajowego Towarzystwa Dobroczyńności, ośrodek opieki nad upośledzonymi umysłowo i fizycznie. Od 1940 r. miejsce, w którym zagazowano około 30 tys. osób, bo ich życie, według ideologów III Rzeszy, nie było nic warte. Wśród ofiar ponad 1000 osób to Polacy – więźniowie obozów koncentracyjnych Dachau, Gusen, Mautausen i Ravensbrück.

O zbrodni w Hartheim, która wstrząsnęła całym światem, przez ostatnie lata powiedziano już niemal wszystko. Teraz rodziny ofiar dowiadują się, jak i gdzie naprawdę zginęli ich bliscy. Czytają opis tego, co działo się w Hartheim. Przeżywają szok.

Etyka świata nauki

Wrzesień 1939 r., Sopot, Grand Hotel. Adolf Hitler naradza się z niemieckimi psychiatrami na temat powołania instytucji, która mia-

łaby realizować „program eliminacji bezwartościowych istnień”. Psychiatrzy szczegółowo analizują kwestię fizycznej eliminacji osób niedorozwiniętych psychicznie, przewlekle chorych psychicznie i neurologicznie. Zebrani mówią o konieczności „uzdrowienia społeczeństwa”, a co



Samochód, którym do zamku transportowano więźniów wytypowanych do komór gazowych

FOT. ARCHIWUM AUTORA

za tym idzie o konieczności usunięcia schizofreników, osób cierpiących na padaczkę, otępienie starcze, ślepotę, niepoczytalnych – w sumie wszystkich, którzy przebywają w zakładach opiekuńczych ponad pięć lat.

Właściwie jest to podsumowanie dyskusji, która toczy się już ponad pół roku. Pod koniec 1938 r. pewne małżeństwo kieruje do Hitlera list, prosząc, aby „rozwiązał” problem ich upośledzonego dziecka. Z „pomocą” przychodzi osobisty lekarz wodza III Rzeszy, Karl Brandt. Wkrótce powstaje komisja, która nakazuje rodzicom dzieci upośledzonych, a także niewidomych czy głuchych zgłaszać takie przypadki – specjaliści zdecydują, co z nimi zrobić. Na oddziałach dziecięcych zakładów leczniczych i opiekuńczych zaczyna się zabijanie małych pacjentów – do końca wojny zginie ich 5–8 tys. Położne odbierające porody też mają zadanie informować, gdyby przychodzące na świat maluchy wydały im się niezgodne z normami rasy nordyckiej.

Po naradzie w Grand Hotelu akcja rozszerza się na całą Rzeszę. Nakazane jest utrzymanie jej w tajemnicy – gdyby jednak dane przestały się do społeczeństwa (co szybko się dzieje), przygotowane są specjalne tablice z wyliczeniami, ile społeczeństwo oszczędza, pozbywając się spośród siebie „jednostek kompletnie bezużytecznych”.

– *Udział lekarzy w hitlerowskiej eutanazji był pierwszą próbą przełamania norm etycznych przez świat naukowy* – ocenia dr Maciej Maciejowski, historyk szczecińskiego IPN.

Upośledzeni psychicznie i fizycznie mają ginąć na wszystkich terenach okupowanych przez III Rzeszę. Kiedy wojska niemieckie wkraczają do Polski, hitlerowcy zabijają ok. 10 tys. pacjentów szpitali psychiatrycznych. Chorzy są rozstrzeliwani, giną od zastrzyków z trucizną, jak również w pierwszych prymitywnych komorach gazowych.

Szkoła katów

Aktion-T albo E-Aktion – bo taki kryptonim nosi program eliminacji „niepotrzebnych” – jest realizowany głównie w sześciu zakładach w Austrii i Niemczech. Najwięcej osób ginie w Hartheim. Na początku ludzie mordowani są za pomocą zastrzyków, ale odbywa się to za wolno, oprawcy się niecierpliwią. Aby przyspieszyć, w Hartheim na ofiary czekają coraz bardziej doskonalone komory gazowe, gdzie zabija się za pomocą tlenu węgla. Chorzy duszą się, długo cierpią. Ich prochy trafiają do Dunaju i rzeki Traun.

W ramach programu E-Aktion ginie ok. 90 tys. ludzi. Są to pensjonariusze zakładów z południowej Austrii, południowych Niemiec, Słowenii, Bałkanów, Polski. Trafiają tu więźniowie obozów koncentracyjnych Dachau, Mauthausen i Gusen, Ravensbrück. Giną osoby klasyfikowane w III Rzeszy jako przestępcy, giną księża (520), a także Żydzi, Cyganie i homoseksualiści.

Ludność okolic, gdzie znajdują się ośrodki, nad którymi unosi się czarny dym, milczy. Hitler, a może jego naukowe otoczenie, szybko wpada na kolejny pomysł – w ramach E-Aktion lekarze mają „zająć się” niemieckimi żołnierzami, którzy nie są zdolni wrócić na front: cierpią na przypadki wojennej neurozy, niedosłyszą czy są chorzy na serce. Wtedy pojawiają się pierwsze protesty, z których najgłośniejszy jest abp. Münster, Klemensa Augusta hr. von Galen. Wydaje się, że głos hierarchy wstrzymuje akcję, ale naprawdę, według historyków, powoduje tylko jej większe zakamuflowanie.

– *Jeden z sądów w Niemczech próbuje wszcząć śledztwo w sprawie eutanazji, ale śledztwo szybko zostaje ucięte* – mówi dr Maciejowski. – *Także rodzina jednego z chłopców, który zniknął z placówki opiekuńczej, stara się odnaleźć ślad syna – dostają wkrótce akt zgonu zawierający nieprawdziwą przyczynę śmierci.*



Wnętrze zamku, w którym podczas II wojny zagazowano ok. 18 tys. ludzi. FOT. ARCHIWUM AUTORŃ

W 1942 r. naukowcy podsuwają kolejny pomysł: stosowanie wobec chorych psychicznie „specjalnej diety”. W praktyce oznacza to, że w ciągu trzech miesięcy pacjenci ośrodków mają umrzeć z głodu.

Personel Hartheim i tym podobnych placówek to potem szefostwo tworzonych na terenie krajów okupowanych obozów koncentracyjnych. To właśnie z Hartheim wywodzą się komendanci obozów w Sobiborze, Treblince, Bełżcu – np. Christian Wirth, który w tych obozach osobiście nadzorował zagładę 2,5 mln Żydów. Wspomniany wcześniej lekarz Hitlera, Karl Brandt, podczas wojny awansuje na komisarza III Rzeszy ds. służby zdrowia. W latach 1943–1944 nakazuje zabijanie pacjentów szpitali czy pensjonariuszy domów opieki i domów starców – trzeba przecież zwolnić miejsca dla rannych żołnierzy. Oczywiście, jeśli ci okażą się niezdolni do dalszej służby – ich także należy wyeliminować.

Chronić zbrodniarzy

Po wojnie przed trybunałem ludowym w Austrii stają pielęgniarzki zatrudnione w Hartheim, kierowcy, kierowniczka biura. Nikt z nich nie przyznaje się do pomagania w zbrodni – większość z tych osób zostaje uniewinniona. Sprawiedliwość nie sięga też dwóch głównych oprawców. Rudolf Lonauer był kierownikiem ośrodków eutanazji w Hartheim i Niedernhart. To właśnie on

przez czas wojny jeździ po zakładach psychiatrycznych III Rzeszy, domach starców, szpitalach, a także obozach Mautchusen, Dachau i Buchenwald, gdzie wybiera osoby do komór gazowych. Pod koniec wojny to Rudolf Lonauer zajmuje się niszczeniem dokumentacji Hartheim – dzieje się tak już po wydaniu rozkazu przez Hitlera o zaprzestaniu uśmiercania ludzi gazem w austriackim zamku.

Lonauer jednak dalej zabija więźniów, aż do końca kwietnia 1945 r. Doskonale wie, co go za to czeka po zakończeniu wojny. Nie zamierza stawiać przed sądem – 5 maja 1954 r. popełnia samobójstwo, a chwilę wcześniej śmiertelną dawkę trucizny wstrzykuje żonie i dwóm córeczkom.



„Niepełnosprawna osoba kosztuje swoją społeczność średnio 60 000 marek. Obywatelu – to Wasze pieniądze”. Nazistowski plakat o ludziach niepełnosprawnych... FOT. ARCHIWUM AUTORA

Zastępca Lonauera, Georg Renno, to nadgorliwy hitlerowiec. Wszystkiego chce dopatrzeć sam – gdy przyjeżdżają transporty, przygląda się ofiarom, czyta karty chorych, po odprowadzeniu ludzi do komór gazowych osobiście pilnuje, czy drzwi zostały dobrze zaryglowane. Obsługuje zawór gazu, a potem sprawdza, czy na pewno wszyscy zostali otruci. W nagrodę zostaje kierownikiem oddziału pediatrycznego w Waldniel niedaleko Andernach, gdzie przez

kilka miesięcy przeprowadza eutanazję dzieci. Potem znów wraca do Hartheim. Po wojnie ukrywa się, zostaje zatrzymany dopiero w 1961 r. Ale jego proces wlecze się do 1970 r. – świat medyczny pomaga zbrodniarzowi, wydając kolejne zaświadczenia dotyczące jego prawdziwych czy rzekomych chorób. Pięć lat później postępowanie wobec Renno zostaje umorzone. Kat Hartheim żyje spokojnie i dostatnio aż do 1997 r.

Za to, co stało się w Hartheim i podobnych zakładach, przed sądami odpowie stosunkowo niewiele osób.

Tajemnica odkrywana powoli

Dzieje ośrodka Hartheim badali najpierw Amerykanie, którzy wjechali do zamku po kapitulacji Niemiec. Zauważyli tablicę z napisem



Dr. Rudolf Lonauer ze swoją żoną. Popiełnit samobójstwo 5 maja 1945 r., wcześniej wstrzyknął truciznę też żonie i córkom FOT. ARCHIWUM AUTORA

„Kto jest chory na ciele i umyśle nie ma prawa przekazywać choroby swoim dzieciom”. Działalność ośrodka opisało w 1971 r. dwóch francuskich lekarzy, zajmujących się eksterminacją psychicznie chorych w III Rzeszy. Wtedy przyznali, że proceder wciąż otacza tajemnica, niewielu ludzi, nawet tych mieszkających w pobliżu ośrodków eksterminacji, chciało opowiadać o tym, co widzieli albo czego się domyślali. Przełom nastąpił dopiero w latach 90.

Austriacki dziennikarz telewizyjny, Tom Matzek, przez trzy lata prowadził własne śledztwo w tej sprawie. Napisał świetnie udokumentowaną książkę „Zamek śmierci Hartheim. Eutanazja w III Rzeszy”, której polski przekład ukazał się w 2004 r. Autor dotarł do wielu naocznych świadków zdarzeń, rodzin ofiar, rozmawiał z oprawcami.

Przez lata trwały prace badawcze w Hartheim. Podczas robót znaleziono m.in. 23 numery rozpoznawcze polskich więźniów. – *Udało się ustalić dane tych osób. Ich rodziny, z centralnej i wschodniej Polski, były przekonane, że krewni zginęli w obozach koncentracyjnych, pokazywali akty zgonów, z których wynikało, że bliscy zmarli wskutek różnych chorób albo na atak serca* – mówi Christopher Świerk, prokurator szczebińskiego IPN prowadzący śledztwo. – *Hitlerowcy oferowali rodzinom nawet odbiór prochów – za wynagrodzeniem. W ewidencji obozowej krewni figurowali jako osoby wywiezione w tzw. transportach inwalidów. Dopiero teraz rodziny dowiedziały się, dokąd trafili.*

Listę Polaków wywiezionych w „transportach inwalidów” sporządził, zaraz po wyzwoleniu Dachau przez Amerykanów, ks. Edmund Chart, więzień obozu. Znalazły się na niej 1134 nazwiska. Lista znajduje się na stronie internetowej IPN. Żadna z osób przesłuchanych przez IPN nie potwierdziła faktu niepełnosprawności swoich krewnych, co może być dowodem na to, że zamek Hartheim pełnił także podobną funkcję, jak inne obozy koncentracyjne, eliminujące wszystkich „wrogów III Rzeszy”. ■

Źródła:

W tekście wykorzystano m.in. fragmenty ekspertyzy dr. Macieja Maciejowskiego dotyczącej zbrodni w Hartheim, fragmenty książki Toma Matzeka, recenzje, które ukazały się na jej temat, a także informacje na temat eksterminacji niepełnosprawnych przez nazistów w okresie II wojny światowej oraz okupacji ziem polskich (dostępne na stronach internetowych poświęconych historii).

Fala aresztowań ruszyła w połowie 1943 r. Niemcy na terenie Lidy i okolic zatrzymali członków AK, m.in. komendanta obwodu, por. Wiesława Krzywickiego „Wiesława” oraz wielu oficerów. Wszystko wskazywało na zaplanowaną akcję. Ktoś musiał zdradzić, gestapo miało obszerną wiedzę o organizacji AK na tym terenie. Pod koniec grudnia 1943 r., po obławie w Raduniu, w ręce Niemców wpadli: Lelowski, Zygmunt Witkowski, Schab-Siatkowski, Józef Wydrzycki, Jarosław Szlenkier, Tadeusz Kupis. Oni i kilkudziesięciu innych żołnierzy zostało zamkniętych w murach lidzkiego więzienia przy ul. Syrokomli.

Podejrzany o zdradę był Jan Maż „Miotła”, na którego wskazuje w swoich wspomnieniach Tadeusz Bieńkiewicz „Rączy”, dziś w stopniu pułkownika: – *W tym czasie uzupełnialiśmy plutony, więc por. „Krysią” powierzył mi – jako szefowi sanitarnemu – ściągnąć uzupełnienia przy okazji przewożenia rannych. Dowódca placówki zwrócił się do mnie z prośbą, bym zabrał do „Krysi” i Mazia „Miotłę”. Byłem trochę zdziwiony, bo on był przecież u „Regnera”. (...) Nie mogłem znaleźć „Miotły”, po kilku dniach zostałem ponownie wysłany na placówkę 311 po uzupełnienie oddziału. Na miejscu okazało się, że „Miotła” jest przetrzymywany pod podejrzeniem zdrady. „Mamy go na oku. I chyba przyjdzie go pod trawę schować” powiedział mi „Zawieja”. Za co, w to już nie wchodziłem.*

Rozkaz odbicia

Pod naciskiem Komendy Okręgu AK postanowiono dokonać próby odbicia więźniów. Przewidywano, że akcja będzie bardzo ryzykowna, a szanse jej powodzenia oceniono jako znikome. Lida, kresowe polskie miasto, stała się podczas wojny dla Niemców ważnym punktem strategicznym. W starych, pamiętających carskie czasy koszarach stacjonowa-

JESTEŚMY WOLNI – TO NASI CHŁOPCY

PIOTR SULEK



Osiemnasty stycznia to chyba najlepszy dzień, jak wskazuje historia, do odbijania więzień. W 1943 r. oddział ppor. Jana Piwnika „Ponurego” bez wystrzału opanował areszt w Pińsku, równo rok później to samo zrobiono w Lidzie. O pierwszym przypadku już pisaliśmy (Biuletyn „Kombatant” nr 2/2013), teraz przyszedł czas na drugi.

ły liczne niemieckie jednostki. Lida, ważny węzeł komunikacyjny na przecięciu dwóch szlaków kolejowych, pełna była przemieszczających się wojsk. Więzienie, które planowano opanować, znajdowało się kilkaset metrów od tętniącego, pełnego żołnierzy dworca.

– *Byłem u „Korsaka” razem z „Matrasowem” i „Poniatowskim”, korzystaliśmy z łaźni – kąpaliśmy się i czyściliśmy pod parą odzież z insektów. To był sylwester 1943 roku. Potem siedzieliśmy w mieszkaniu „Korsaka” wraz z jego rodziną. „Matrasow” grał na akordeonie, a siostra „Korsaka”, Marysia, na gitarze – wspomina „Rączy”. Sielanekę przerwał „Hucul”, który przybył z rozkazem dla „Rączego” od por. Jana Borysewicza „Krysi”, by niezwłocznie zameldował się u dowódcy. – *Postanowiłem jeszcze trochę pozostać u „Korsaka”, kilka godzin wcześniej proponowałem „Krysi”**

wykonanie akcji w Raduniu. Chciałem ostrzelać garnizon, by popsuć Niemcom sylwestrową noc tak, by musieli ją spędzić w bunkrach, ale dowódca nie zgodził się na to. I wtedy ponownie zjawił się „Hucul”.

Natychmiastowe wezwanie do „Krysi” nie było przypadkowe. „Komendant”, jak nazywali „Krysię” jego żołnierze, miał dla „Rączego” poważniejsze zadanie. – *Jesteś lidzianinem, znasz miasto. Wybierz pięciu najodważniejszych, bo ma być was siedmiu do tej akcji – powiedział por. Borysewicz. Do „Krysi” dotarł rozkaz dowództwa Okręgu przygotowania i przeprowadzenia akcji zdobycia więzienia oraz uwolnienia przetrzymywanych.*

Do wykonania zadania ze składu II batalionu 77. pp AK por. Krysi” wyznaczono siedmiu żołnierzy. Dowództwo nad nimi objął sierż. Alfred Fries „Bez”, a jego zastępcą został „Rączy”. Do udziału w operacji wy-



FOT. ZE ZBIORÓW FOTÓTEK KRESOWYCH WODCIECHA LEWICKIEGO

typowano Józefa Kulewicza „Kulę”, Jana Czerniawskiego „Drzazgę”, Wacława Morawskiego „Saszkę”, Zbigniewa Hryckiewicza „Szczerbatego” i „Leszka”. Do tej grupy dołączyli później delegowani przez Komendę Okręgu: Waldemar Lisowski „Grom”, Marian Jończyk „Biały” i Stanisław Królak „Róża”, natomiast chorego „Leszka” zastąpił Julian Zdanowicz „Hucuł”. Plan odbicia więźniów przygotował ppor. Zenon Batorowicz „Zdzisław” ze sztabu Okręgu, który objął ogólne dowództwo nad akcją.

W mundurach wroga

Wieczorem 18 stycznia do mieszkania Tamulewiczów, w którym przed akcją zatrzymała się grupa uderzeniowa, przyszedł por. „Zdzisław”. Przedstawił ogólną sytuację, jaka panowała w mieście. Według informacji wywiadu, tego dnia w Lidzie przebywało łącznie ok. 11 tys. żołnierzy, żandarmów i policji. Na dworcu stało kilka składów wojskowych. Obsada więzienia składała się z 10 strażników. Dodatkowo do pilnowania więzienia skierowano stały pa-

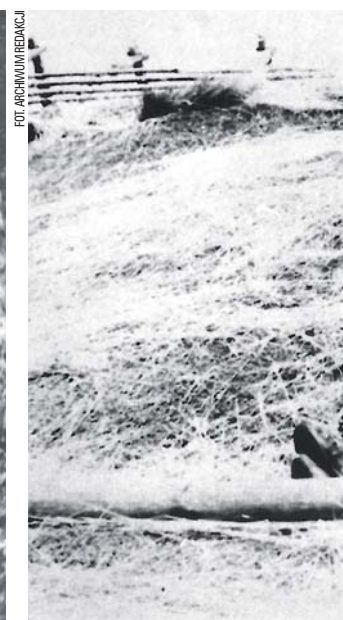
trol w sile 18 ludzi, który strzegł terenu wokół murów. Podjęta wcześniej obserwacja pozwoliła ustalić, że patrol potrzebuje 20 minut na dokonanie obejścia terenu więzienia. Należało w tym czasie wejść do środka i po cichu rozbroić strażników. Użycie broni było równoznaczne z niepowodzeniem całej akcji. Plan ataku przewidywał podstęp. Wieczorem do więzienia udała się Halina Tamulewicz z paczką dla jednego z uwięzionych. Strażnika, który miał wykonać przysługę, obdarowała kilkoma butelkami piwa, do którego wcześniej dodano sporą dawkę środków nasennych.

Był mróz, śnieg skrzypiał pod butami, gdy pod osłoną nocy, około godziny 23, przebrana w wojskowe niemieckie i policyjne białoruskie mundury grupa uderzeniowa dotarła pod mury więzienia. Brama uchyliła się otwarta od środka przez współpracującego z podziemiem strażnika Krućkę. Oddział, podzielony na cztery grupy, przystąpił do akcji. Uzbrojony w ręczny karabin maszynowy „Drzazga” razem ze „Szczerbatym” pozostali na dziedzińcu, by zabezpieczyć wejście do więzienia. Najważniejsze zadanie przypadło „Rączemu”, „Hucułowi” i „Kuli” – mieli uciszyć wartowników i odciąć połączenia telefoniczne. „Rączy” musiał działać błyskawicznie, opanowanie wartowni musiało odbyć się bez wystrzału. Jeśli strażnicy odpowiedzą ogniem, plan odbicia więźniów nie powiedzie się, a wszyscy członkowie grupy uderzeniowej zginą. – *Przebiegłem jak burza przez plac, kopnąłem drzwi i wpadłem, mając broń w obu rękach, do środka wartowni. Krzyknąłem tylko „hände hoch” do zaskoczonych strażników. Tuż za mną wpadli „Hucuł” i „Kula”. Zerwałem telefon, a „Kula” obezwładnił sięgającego po broń strażnika. Udało się, sytuacja została opanowana – wspomina po 70 latach od tamtych wydarzeń „Rączy”. W tym samym czasie do dzia-*



Podpułkownik Tadeusz Bieńkiewicz „Rączy” przeprowadził udany atak na wartownię w więzieniu w Lidzie, od którego zależało powodzenie całej akcji. FOT. ARCHIWUM REDAKCJI

” Według informacji wywiadu, tego dnia w Lidzie przebywało łącznie ok. 11 tys. żołnierzy, żandarmów i policji. Na dworcu stało kilka składów wojskowych. Obsada więzienia składała się z 10 strażników



Oddział nr 314 na postoju nad Dźwiną, lato 1943 r. Pierwszy z lewej – sierż. Władysław Janczewski „Laluś”, powyżej stoi Zbigniew Hryckiewicz „Szczerbaty”, obok – Tadeusz Bienkowicz „Rączy” i Czesław Judycki „Korzeń”, przy erkaemie – Julian Zdanowicz „Hucul”

FOT. ARCHIWUM REDAKCJI

łania przystąpiły dwie pozostałe grupy. „Grom” i „Saszka” wbiegli na pierwsze piętro wartowni, gdzie znajdował się pokój naczelnika więzienia. Bittner mógł podnieść alarm i zniweczyć akcję. Ze względu na grożące represje, naczelnika należało pilnować, w ostateczności ogłuszyć, ale nie zabijać.

Dochodziła północ, gdy ostatnia grupa pobiegła do budynku więziennego. „Zdzisław”, „Bez”, „Biały” i „Róża” otwierali po kolei cele i na podstawie przygotowanych wcześniej list wywoływali nazwiska uwięzionych. Wybuchła panika – uwięzieni obawiali się, że oto nadeszła ich ostatnia godzina, za chwilę zostaną wyprowadzeni i rozstrzelani. Nikt nie rozpoznał w przebranych w mundury wroga partyzantów. – *Uwolnieni przez nas ludzie stali przerażeni na korytarzu. Dopiero po chwili jakaś kobieta, mimo że byłam w niemieckim mundurze, rozpoznała mnie i powiedziała: ludzie, jesteście uratowani, bo rozpoznaję „Rączego”, on przyszedł nas uwolnić* – wspomina tamtą chwilę Tadeusz Bienkowicz. Więźniowie byli przekonani, że Lida została opanowana przez oddziały AK, że są wolni i bezpieczni. Zaplanowała radość. Okazało się, że w ce-

lach pozostało wielu Polaków, których nie było na listach. Po spisaniu nazwisk „Bez” ponownie kazał otworzyć cele i wywołać wskazane osoby. W ten sposób wolność odzyskało jeszcze 35 osób.

Bez strat własnych

Dowodzący „grupą szturmową” sierż. Alfred Fries „Bez” zebrał wszystkich uwolnionych i przedstawił plan ewakuacji. Wszyscy wyjdą w jednej grupie eskortowani przez przebranych żołnierzy. Rozdano dodatkową broń zdobytą na wartowni. Strażników solidnie skrepowano i pół godziny po północy konwój ruszył ku bramie. Na czele szli „Bez”, „Rączy” i „Kula”. Poprowadzili grupę ulicami Syrokomli i Tartaczną w kierunku cmentarza. Dopiero tam padł pierwszy i jedyny w całej akcji strzał. To „Grom” zlikwidował przypadkowo napotkanego niemieckiego oficera.

Zapanował chwilowy popłoch, ponieważ za chwilę mógł zjawić się zaalarmowany niemiecki patrol. Cała grupa szybko pokonała cmentarz i przebiegła przez ul. Grażyny – byle szybciej, byle dalej od centrum i więzienia. Do pokonania pozostała jeszcze niewielka rzeczka Lidziejka. Miała być tam przygoto-

wana prowizoryczna kładka, by szybko sforsować przeszkodę i odskoczyć od miasta. Niestety, na brzegu leżała tylko długa deska, którą trzeba dopiero przerzucić. Uciekały cenne minuty. „Bez” postanowił przeprowadzić część grupy przez położony nieopodal mostek. Było to niebezpieczne, gdyż istniało duże prawdopodobieństwo natknięcia się na Niemców. Tymczasem „Rączy” zdecydował się przejść na pospiesznie przygotowanej kładce z deski. Przerzucił ją na drugi brze-

” Dochodziła północ, gdy ostatnia grupa pobiegła do budynku więziennego. „Zdzisław”, „Bez”, „Biały” i „Róża” otwierali po kolei cele i na podstawie przygotowanych wcześniej list wywoływali nazwiska uwięzionych

gi i skoczył jako pierwszy. Niestety, wpadł do lodowatej wody. Po wyj-



Grupa żołnierzy oddziału nr 314. Trzeci od dołu – Julian Zdanowicz „Hucul”, piąty – Tadeusz Bieńkowicz „Rączy”

Komenda Główna Armii Krajowej, 9 lutego 1944 r. wysłała do Londynu **meldunek (O.VI. L.dz. 1515/tjn/44)**, w którym czytamy: – *W nocy 17/18. I. rozbito więzienie w Lidzie i uwolniono 170 więźniów politycznych, w tym znaczną część żołnierzy Armii Krajowej, których bezpiecznie wywieziono poza miasto. Niemców ze straży więziennej rozbrojono i częściowo wybito. Strat własnych nie było. Garnizon niemiecki w Lidzie liczy 10.000 żołnierzy, a całe miasto jest od zmroku gęsto patrolowane.*

Zupełnie inaczej o tym samym zdarzeniu, w depeszy wysłanej 31 stycznia 1944 r., meldował I sekretarzowi Komunistycznej Partii Białorusi dowódca Zgrupowania Baranowickiego sowieckiej partyzantki, gen. Wasilij Czernyszow: – *19 stycznia Niemcy wypuścili z lidzkiego więzienia wszystkich Polaków, którzy wstąpili do band białopolskich. Polacy z Niemcami nie walczą.*

Według współczesnych badaczy, z lidzkiego więzienia uwolniono od 50 do 70 więźniów.

ściu na drugi brzeg przeciągnął deskę tak, by pozostali mogli szybko pokonać przeszkodę. – *Nie wszystkim się udało, niektórzy ześliznęli się i wpadli do wody. Można było żywcem zamarznąć – wspomina Bieńkowicz. – Po dojściu do ulicy Mostowskiej nakazałem wszystkim zaszyć się w krzaki żywopłotu i oczekiwać na grupę „Bza”. Oni minęli jednak już to miejsce i po chwili jeden z kolegów wrócił po nas. Po połączeniu się przeszliśmy na ulicę Lotniczą, wychodzącą poza miasto.*

W pierwszym folwarku na uwolnionych miał czekać przewodnik oraz sanie. Gdy konwój dotarł wreszcie do zabudowań, nie było nikogo. Pozostały dwa konie i jedno sanie, na które wsiedli najslabsi. Kawalkada ruszyła naprzód bezdrożami do najbliższej wsi. Tam czekali już żołnierze z oddziału „Ragnera” oraz kolejne sanie. Ewakuacja trwała całą noc. Grupa w pełnym składzie szczęśliwie dotarła do wiosek Lidzkiej i Dzitwy. Dalej musieli iść pieszo, aż do Dzitryk. Dopiero tam, gdy do-

tarli do dowództwa IV batalionu por. „Ragnera”, byli bezpieczni.

Spektakularna akcja zdobycia więzienia i odbicia więźniów rozślała oddział por. „Krysi” na całą Polskę. Wcześniej Komenda Okręgu Nowogródzkiego dwukrotnie przymerzała się do uwolnienia przetrzymywanych w lidzkim więzieniu. Brano pod uwagę wykupienie kilku uwięzionych. Nie udało się zrealizować tego planu. Dopiero brawurowa akcja „krysiaków” doprowadziła do uwolnienia zatrzymanych. Jeden z uwolnionych akowców, Zygmunt Witkowski „Wilk”, zanotował w swoich wspomnieniach: – *Akcja wyzwolenia więźniów w Lidzie stanowi najpiękniejszą kartę w historii batalionu „Krysi”.*

Wszystkich żołnierzy biorących udział w akcji na więzienie w Lidzie awansowano o jeden stopień. „Bez” i „Rączy” odznaczeni zostali Krzyżami Srebrnymi Orderu Wojennego Virtuti Militari. W 1950 r. Tadeusz Bieńkowicz został skazany na dożywotnie więzienie. Spędził w nim sześć lat. Na początku lat 90. został zrehabilitowany. Torturujący go w latach 50. funkcjonariusz MBP został skazany w 2005 r. na dwa lata więzienia. ■

FOT. ARCHIWUM REDAKCJI



Grupa żołnierzy AK, w tym uczestników akcji na więzienie w Lidzie. Drugi z prawej – ppor. Zenon Batorowicz „Zdzisław” (zginął z rąk nieznanych sprawców zimą 1944 r.), trzeci – ppor. Kazimierz Krzywicki „Wiesław” (jeden z odbitych), pośrodku – rodzeństwo Lisowscy (zginęli zimą 1944 r.)



WOJCIECH PIOTROWSKI

FOT. PIOTR SIERGUSIŃSKI

Pułkownik Kukliński – człowiek honoru

Wolę być nazywany szpiegiem niż być nikczemnikiem...

Józef Piłsudski

Czy szpieg w ogóle może być bohaterem narodowym? Według niektórych publicystów tajny agent, którego działalność odznacza się okazywaniem podwójnego oblicza – nie jest człowiekiem honoru, a co za tym idzie: nie może, oczywiście, zostać bohaterem. Każdy jednak, kto zna znaczenie tego słowa, wie, że miarą honoru jest przede wszystkim gotowość poniesienia najwyższej ofiary w imię największych wartości.

Ryszard Kukliński – jako żołnierz, jako Polak i jako człowiek honoru – stanął wobec dylematu, który dla znacznej części polskich opozycjonistów walczących o „socjalizm z ludzką twarzą” był niewyobrażalny. W grę

Postać płk. Ryszarda Kuklińskiego z trudem przedziera się przez gąszcz obelg, nieporozumień, wątpliwości i dwuznaczności. Być może nadszedł już czas, aby zmasać to, co zaciemnia właściwą ocenę tego wielkiego Polaka. Najwyższa pora, by wyrok historii odpowiadał prawdzie.

wchodziło pytanie: czy dokładna wiedza o strategicznych planach Związku Sowieckiego wobec Zachodu ma pozostać tajna. Było to zagadnienie o znaczeniu „globalnym”, albowiem dotyczyło złowrogich i możliwych wydarzeń, których skutki odczułby cały świat.

Rachuby sowieckie

Pułkownik Ryszard Kukliński, jako szef Oddziału Planowania Obronno-Strategicznego, zajmował szczególnie odpowiedzialne stanowisko w Sztabie Generalnym Ludowego Wojska Polskiego. W związku z pełnioną funkcją jego wiedza o sowieckich zamiarach była szczegółowa i konkretna w odróżnieniu od ogólnej

dowódców wysokiego szczebla. Wiedział o nich więcej niż inni oficerowie, nie wyłączając gen. Jaruzelskiego. Zdobył zaufanie na samych szczytach sowieckiej hierarchii wojskowej. Znał mu były wszystkie warianty planów operacyjnych przeciwko siłom NATO w Europie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że chodzi o wojnę napastniczą, której Moskwa nie zawaha się rozpętać w sprzyjających dla niej okolicznościach. W planach tych szczególnie los miał być zgotowany Polsce.

Po wstępnym ataku wysuniętych sił Układu Warszawskiego na cele pierwszoplanowe, nastąpić miała druga faza wojny – „podciągnięcie” sowieckich rezerw strategicznych do

linii frontów, co miało uniemożliwić wojskom przeciwnika skuteczne przeciwdziałanie. Owo przesunięcie sił drugiego rzutu miało dokonać się głównie przez terytorium Polski. W myśl ówczesnej doktryny wojennej NATO, reakcją Zachodu miało być działalnie „elastyczne”, tj. użycie taktycznej broni nuklearnej, co miało nastąpić, gdyby ich jednostki konwencjonalne okazały się bezradne. Te zaś były beznadziejnie słabe wobec ogromu potęgi Układu Warszawskiego.

Pułkownik Kukliński dobrze wiedział, co to znaczy. Podczas gier wojennych z udziałem sowieckiej generalicji na mapach sztabowych pojawiały się – w miarę omawiania kolejnych wariantów sytuacyjnych – figurki oznaczające eksplozje atomowe spowodowane przez przeciwnika lub siły własne. Niepokojące zagęszczenie tych „grzybów” obejmowało terytorium Polski. Sztabowcy w kwaterze głównej NATO nie mieliby wyboru. Zwłaszcza że w planach Układu Warszawskiego przewidziany był atak Ludowego Wojska Polskiego na północne Niemcy i Danię.

Pułkownik Kukliński był świadom słabości Zachodu i wadliwości jego koncepcji strategicznych na wypadek wojny. W szczególności

dotyczyło to Stanów Zjednoczonych po przegranej w Wietnamie, ale także państw Europy Zachodniej, gdzie „bojownicy o pokój” sterowani z ukrycia przez wywiad sowiecki, skutecznie osłabiali jej obronność. Pułkownik rozumiał, że tylko zmiana doktryny wojennej NATO może stworzyć warunki, które zniweczą przesłanki, na jakich opierają się rachuby sowieckie.

Przełom

Po nawiązaniu kontaktu z CIA Kukliński przekazał nie tylko około 35 tys. stron dokumentów, których waga była bezcenna. Dostarczył także własne studium, zawierające krytyczne uwagi do założeń operacyjnych Zachodu, w którym wskazywał zarówno na mankamenty planów NATO, jak i zwracał uwagę na słabe strony Układu Warszawskiego, które dobrze znał. Były to cenne uwagi, z których Amerykanie umieli skorzystać – doktryna „elastycznej” odpowiedzi została zastąpiona przez plan zakładający użycie środków konwencjonalnych.

Szczególną zasługą Ryszarda Kuklińskiego, może nawet najważniejszą, było wskazanie lokalizacji i przekazanie szczegółów konstrukcyjnych wszystkich schronów przeciwatomowych przewidzianych na miejsca

sztabów i punkty dowodzenia. Jakie to miało znaczenie, okazało się choćby w Reykjavíku – wówczas, gdy sowiecko-amerykańskie rozmowy rozbrojeniowe utknęły w martwym punkcie.

Według byłego sekretarza obrony USA, Weinbergera, przełom nastąpił dopiero w chwili, gdy Reagan wręczył Gorbaczowowi pewne dokumenty. Ten z kolei przekazał je szefowi Sztabu Generalnego Armii Czerwonej, marsz. Siergiejewowi Achromiejewowi, który po ich przeczytaniu zbladł. Były to dane lokalizacji sztabów. Po tym incydencie Gorbaczow zgodził się na propozycję kontrolowanej likwidacji pocisków określonej kategorii. Doradca ds. bezpieczeństwa narodowego prezydenta Cartera, prof. Zbigniew Brzeziński, stwierdził, że: – *gdyby Moskwa rozpętała wojnę z państwami NATO, dowódca sił sowieckich atakujących Europę, marszałek Kulikow, zostałby unicestwiony wraz z całym sztabem najpóźniej w trzy godziny od rozpoczęcia agresji. Jego likwidacja mogłaby dojść do skutku dzięki danym dostarczonym przez Kuklińskiego. Dyrektor CIA, William Casey, napisał o nim: – nikt na świecie w ciągu ostatnich czterdziestu lat nie zaszkodził komunizmowi tak jak ten Polak.*



Kukliński podaje do podpisu sowieckiemu ministrowi obrony Dimitrijowi Ustinowowi tzw. statut na czas wojny. Porozumienie to formalnie przekazywało Sowietom dowództwo nad polskimi siłami zbrojnymi na wypadek wojny. FOT. ARCHIWUM REDAKCJI (2)



Pułkownik Kukliński rozumiał, że tylko zmiana doktryny wojennej NATO może stworzyć warunki, które zniweczą przesłanki, na jakich opierają się rachuby sowieckie FOT. PIOTR SUŁEKUDSKIOR

Ocena rodzimych specjalistów od spraw moralności i honoru, według których rola szpiega jest nie do pogodzenia z bohaterstwem, nasuwa pytanie: co Ryszard Kukliński mógł zrobić? Co powinien uczynić jako patriota i żołnierz? Czy miał się godzić z wizją atomowej zagłady Polski szykowanej przez sowieckich maniakałnych przywódców? Zgłosić prośbę o zwolnienie z wojska czy może publikować supertajne dokumenty w drugim obiegu? Droga, którą obrał, była jedyną możliwą w warunkach, w jakich przyszło mu działać. Była to droga przez mękę,

znaczona każdego dnia śmiertelnym zagrożeniem, wymagała hartu i męstwa w wymiarze trudnym do wyobrażenia. Bohaterem zostaje nieraz człowiek, który zdobywa się na czyn zagrażający jego życiu przez chwilę. Pułkownik Kukliński przez długich prawie 10 lat każdego dnia stąpał po cienkim lodzie, który mógł się zalać w każdej chwili. Nieustannie groziły mu tortury i śmierć. W czasie pobytu w USA stracił obu synów, których dosięgnęli „nieznani sprawcy”.

Stawia się Kuklińskiemu zarzut, że złamał przysięgę i zdradził. Czy

Izba Pamięci Pułkownika Ryszarda Kuklińskiego

Pomysłodawcą wystawy był zmarły w 2012 r. bliski przyjaciel płk. Kuklińskiego, Józef Szaniawski. Początkowo planowano utworzenie muzeum polskiego wywiadu, przybliżające dokonania kryptologów, którzy złamali niemiecki system szyfrujący Enigma, wywiadu AK, który zdobył i przekazał aliantom części rakiet i plany pocisków V1 i rakiet V2. W muzeum przedstawione miały być sylwetki rtm. Pileckiego, Jerzego Pawłowskiego i wreszcie płk. Ryszarda Kuklińskiego.

Ostatecznie po śmierci pułkownika w Stanach Zjednoczonych 11 lutego 2004 r., powstała poświęcona mu Izba Pamięci. Uroczyste otwarcie nastąpiło 3 maja 2006 r. W przemówieniu biskup polowy Wojska Polskiego, gen. Tadeusz Płoski, wówczas powiedział: – *Ryszard Kukliński składał przysięgę w 1947 r. we Wrocławiu, mówiła o Bogu i Ojczyźnie – złożył ją przed ołtarzem polowym. W tej drugiej, która obowiązywała w Ludowym Wojsku Polskim przez 36 lat, od 1952 do 1988 r., Boga zastąpiło braterskie przymierze z Armią Radziecką i innymi sojuszniczymi armiami. A interes bronienia Polski niepodległej został zamieniony na formułę: stać nieugięte na straży władzy ludowej. A karać miała „surowa ręka sprawiedliwości ludowej”.*

W otwarciu Izby Pamięci brał udział ówczesny minister obrony narodowej, obecny szef MSZ, Radosław Sikorski. Powiedział m.in.: – *Misja wywiadowcza polskiego oficera nabiera wymiaru historycznego przesłania. Albowiem to, co było karane*

wyrokiem śmierci przez totalitarny reżim stanu wojennego, jest dzisiaj zasługą dla wolnej Polski.

Izba Pamięci płk. Kuklińskiego składa się z dwóch głównych części – wschodniej i zachodniej. Przekształca ją „żelazna kurtyna” wykonana z blach pochodzących z magazynów byłych jednostek Armii Czerwonej w Legnicy. Wschodnia strona prezentuje Układ Warszawski i PRL. Ta część poświęcona jest pracy Kuklińskiego do 1981 r. Oglądać w niej można mapy przedstawiające rozważany przez ZSRS scenariusz ataku na Europę Zachodnią. Są tu zdjęcia dokumentujące pracę pułkownika na posiedzeniach dowództwa Układu Warszawskiego. Po zachodniej stronie „żelaznej kurtyny” pokazano m.in. zdjęcia i wspomnienia z wizyt Kuklińskiego w wolnej Polsce od 1998 r. Są tu osobiste pamiątki, a także jego mundury oraz wyróżnienia, jakie otrzymał po powrocie do kraju. ■



FOT. PIOTR SUŁEKUDSKIOR

obowiązuje jednak przysięga złożona na diabłu? Co zresztą miało oznaczać zobowiązanie „dochowania sojuszniczej wierności Armii Czerwonej” i PZPR.

Znaczyło chyba tyle samo co akt wierności carom, którzy samozwańczo zwali się królami polskimi. Nie poczuli się do wierności takiej przysiędze generałowie Królestwa Polskiego w 1830 r., tak samo jak Romuald Traugutt, carski pułkownik w 1863 r.

W dniu 21 lutego 2014 r. Sejm Rzeczypospolitej Polskiej przyjął uchwałę upamiętniającą płk. Ryszarda

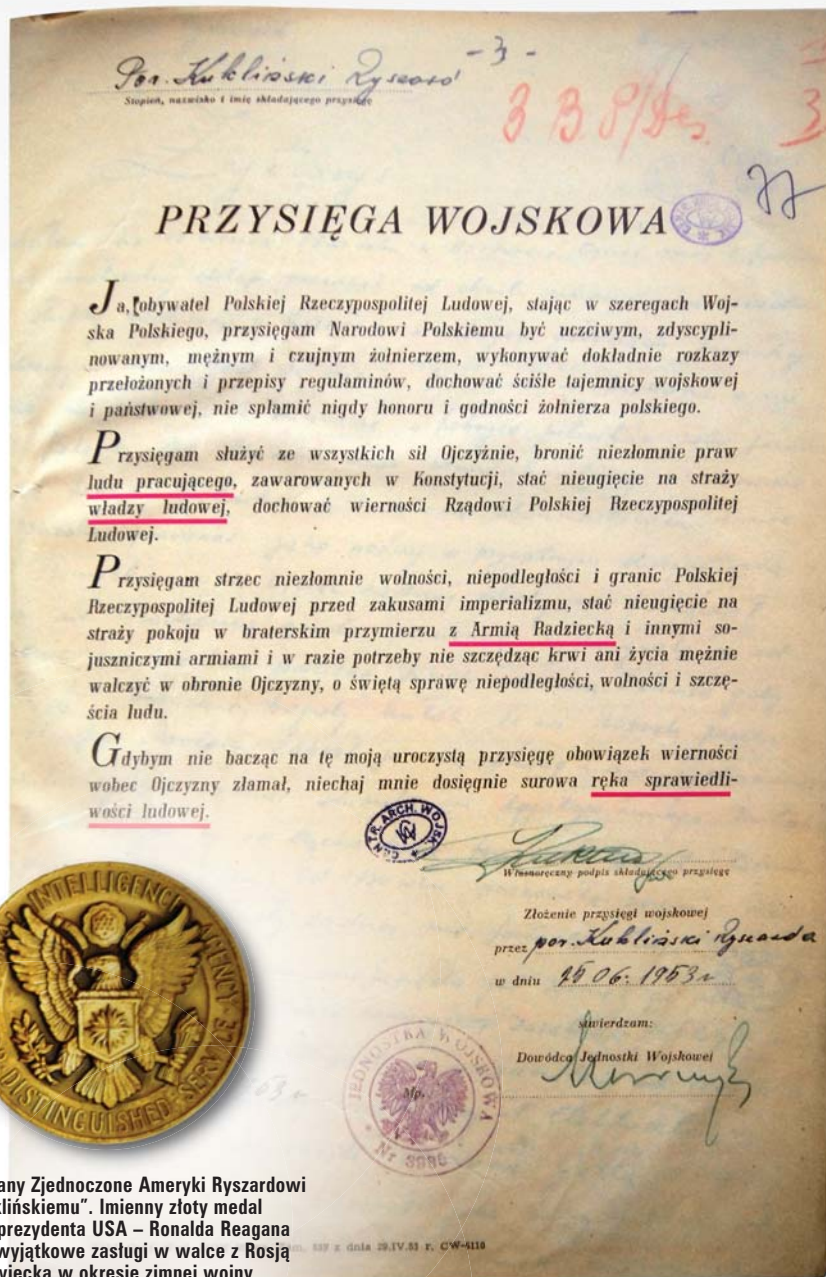
Kuklińskiego. – W 10. rocznicę śmierci płk. Ryszarda Kuklińskiego Sejm Rzeczypospolitej Polskiej wyraża najwyższe uznanie dla działań pułkownika, którego poświęcenie przysłużyło się obaleniu w Polsce komunizmu i utrzymaniu światowego pokoju zagrożonego ofensywnymi planami militarnymi Związku Radzieckiego. Kierując się dobrem Polski i Polaków, nie zważając na niebezpieczeństwa, Ryszard Kukliński odważnie przeciwstawił się komunistycznemu reżimowi, stając w jednym szeregu z bohaterami walk o polską niepodległość. ■

„Jack Strong”, film w reżyserii Władysława Pasikowskiego

Premiera filmu „Jack Strong” miała miejsce w lutym br., w 10. rocznicę śmierci płk. Ryszarda Kuklińskiego. Pokaz z udziałem twórców i aktorów zaszczylił prezydent Bronisław Komorowski. Po projekcji podziękował on wszystkim osobom, które przyczyniły się do powstania filmu o płk. Kuklińskim.

– Dla mnie płk. Kukliński jest bohaterem, bo podjął się niezwykle trudnego zadania, w moim przekonaniu z bardzo czystymi intencjami, w sytuacji, kiedy margines swobody w zakresie służenia Ojczyźnie był bardzo, bardzo wąski przez fakt, że Ojczyzna nie była państwem suwerennym – powiedział Bronisław Komorowski. Zaznaczył, że płk Kukliński podjął – dramatyczną decyzję, dramatyczne wyzwanie służenia Ojczyźnie tak, jak uważał za najlepsze. (...) W roku 25-lecia wolnej Polski, Polski niepodległej, gdzie także żołnierze mogą czuć, że służą wolnej Polsce i niepodległości narodu, możemy sobie powiedzieć, że postać płk. Kuklińskiego zasłużyła na wdzięczną pamięć. W tym filmie dało się wyczuć coś, co można by nazwać panoramą postaw żołnierskich w tamtym trudnym czasie. Mówiąc o wyborze, przed jakim stanął płk Kukliński, prezydent zwrócił uwagę, że w polskich skomplikowanych dziejach nie jest to pierwsza tego rodzaju postać: – Sięgając gdzieś w głąb literatury polskiej, to jest i Konrad Wallenrod. Ale w historii przecież – wszyscy podchorążowie nocy listopadowej, gdy wywoływali powstanie listopadowe, również sprzeniewierzyli się przysiędze, przysiędze, która była składana jednak w sytuacji braku wolnego, suwerennego państwa polskiego.

Obsada filmu jest polsko-amerykańsko-rosyjska, a w postać Kuklińskiego wcielił się jeden z najpopularniejszych aktorów, Marcin Dorociński. W pierwszym tygodniu „Jack Strong” obejrzało już ponad 250 tys. widzów.



„Stany Zjednoczone Ameryki Ryszardowi Kuklińskiemu”. Imienny złoty medal od prezydenta USA – Ronalda Reagana za wyjątkowe zasługi w walce z Rosją Sowiecką w okresie zimnej wojny

FOT. PIOTR SIEK/ODSNDOR



JAROSŁAW LEWANDOWSKI

Partyzancki peem

Broń wytwarzana w podziemiu w czasach II wojny światowej, pod niemiecką okupacją, jest tematem niezwykle ciekawym. Zazwyczaj wiąże się ją z Warszawą, powstańczymi Stenami, Błyskawicami oraz granatami. Tymczasem także polska wieś ma na swym koncie sukcesy w tej materii.

Bechowiec to pistolet maszynowy, nazwany na cześć używających go oddziałów Batalionów Chłopskich. Jest bronią wyjątkową pod co najmniej kilkoma względami. Po pierwsze, zaprojektował, wykonał prototyp i następnie produkował ją seryjnie syn wiejskiego kowala z Kielecczyny. Po drugie, miała rewolucyjne na tamte czasy rozwiązania techniczne – strzelała z zamka zamkniętego i miała kurkowy mechanizm uderzeniowy. Kolejne peemy wykonane w takich założeniach konstrukcyjnych pojawiają się dopiero 20 lat później, w postaci niemieckiego

HK MP5, skądinąd broni-ikony współczesnych jednostek specjalnych i antyterrorystycznych.

Twórca peemu, Henryk Strapoć z Czerwonej Góry w Kieleckiem, od małego miał zacięcie ślusarskie, ukierunkowane na wykonywanie broni samodziłowej – co zresztą ściągnęło na niego kłopoty. Swój pierwszy pistolet (wzorowany na FN M1900) wykonał jako piętnastolatek, odtwarzając z pamięci broń widzianą wcześniej tylko przelotnie. Pistoletem pochwalił się w szkole. Zamiast docenić wiejskiego samouka i umożliwić mu dalsze kształcenie i pracę w powstającym w okoli-

cy Centralnym Okręgu Przemysłowym – broń zarekwirowano, a jej autorowi udzielono reprimendy cielesnej i oddano pod policyjną kurtelę. Na wiele to się nie zdało. Jeszcze przed wojną młodzieniec wykonał trzy kolejne pistolety i rewolwer, tyle tylko że tym razem skrywał już swoje dzieła.

Po wybuchu wojny Strapoć, związany z młodzieżówką Stronnictwa Ludowego, wstąpił początkowo do lokalnej podziemnej organizacji zbrojnej, Straży Samorządowej. Tutaj jego talenty nagle nabrały znaczenia i mógł poczuć się doceniony. Po zaprzysiężeniu przybrał pseudonim „Mewa” i objął obowiązki zbrojmistrza oddziału. Organizacja niebawem zmieniła nazwę na Ludową Straż Bezpieczeństwa (skrót poprzedniej źle się kojarzył w okupacyjnych warunkach), a następnie weszła w skład

tworzonych właśnie Batalionów Chłopskich, zresztą z zachowaniem pewnej odrębności. Henryk Strąpoc dostał wreszcie swoją życiową szansę: miał zbudować pistolet maszynowy dla swojego oddziału.

Broń dla partyzanta

Praktyka pierwszych lat wojny pokazała, że najlepszą bronią do walk partyzanckich jest pistolet maszynowy – sprawdzał się i w natarciu, i w obronie. Tu dystans starć był niewielki, a intensywność krótkotrwałego ognia duża. Lepszej broni nie było.

Tyle że peemów także nie było. Polskie wojsko i policja przed wojną dysponowały jedynie 171 sztukami pistoletów maszynowych (łącznie), w dodatku różnych typów i kalibrów. Oddziały BCh nie mogły – przynajmniej we wcześniejszym okresie wojny – liczyć na rzuty alianckie, bo nie były do końca podporządkowane władzom emigracyjnym, które traktowały je dość nieufnie z uwagi na przedwojenne zaszczości i konflikty z partiami chłopskimi.

Wbrew pozorom (i filmowej mitologii) wcale niełatwo było zdobyć peem na wrogu. Stacjonujące w głębi okupowanego kraju oddziały, przeważnie żandarmerii i policji, same niewiele miały pistoletów maszynowych. A jeśli już coś miały, to przestarzałe Ermy i Bergmanny, pamiętające czasy I wojny światowej. Nowsza broń była zarezerwowana dla

wojsk frontowych, które przez Kielecczynę nawet nie przejeżdżały koleją w drodze na wschód, bo główne linie transportowe omijały ten leśno-górzysty region. Kieleckim bechowcom pozostawała jedynie własna produkcja... I tu właśnie pojawiła się życiowa szansa dla Henryka Strąpocia.

Był jednak poważny problem. Otóż ani „Mewa”, ani jego koledzy nie mieli pojęcia, jak taka broń funkcjonuje – poza oczywistym założeniem, że „pistolet maszynowy” strzelać ma nabojami pistoletowymi, seriami. Nikt z nich bowiem wcześniej nie widział peemu z bliska, a już tym bardziej go nie rozkładał. Na szczęście przedwojenne doświadczenia Strąpocia z pistoletami samopowtarzalnymi, wsparte smykałką i wyobraźnią, okazały się wystarczające.

„Zakład konstrukcyjny” powstał w kuźni starszego brata Henryka – Edwarda. Po całej zimie spędzonej na piłowaniu i dłubaniu w metalu pierwszy prototyp był gotowy na wiosnę 1943 r. i zaprezentowany miejscowemu dowódcy BCh, Bolesławowi Kłonicy „Widłakowi”. Ku radości konstruktora i kolegów peem, nazwany Bechowcem, strzelił serią już przy pierwszej próbie – co powiodło się w przypadku wielu innych, nierzadko słynniejszych konstrukcjom.

Produkcję seryjną pistoletu udało się uruchomić dzięki splotowi przy-

padków, które można by nazwać szczęściem w nieszczęściu. Otóż jesienią 1942 r., w wyniku zakrojonej na szeroką skalę akcji gestapo i policji niemieckiej, rozbito szereg siatek konspiracyjnych działających w zakładach COP i zajmujących się wykradaniem produkowanej tam przez okupanta broni (m.in. pistoletów VIS). Ci, którzy umknęli Niemcom, zmuszeni byli ukryć się w lasach i zasilali szeregi oddziałów partyzanckich. Jednym z takich uciekinierów był Jan Swat „Orzeł”, mechanik z zakładów w Ostrowcu Świętokrzyskim. We wrześniu 1943 r. spotkał się on ze Strąpociem, zapoznał z prototypem peemu i pod wrażeniem oryginalności konstrukcji zaproponował pomoc w uruchomieniu jego produkcji. Sporządzono 6 kompletów rysunków wykonawczych, które przekazano kooperantom w Ostrowcu – choć sam Swat wrócić do miasta nie mógł, to miał tam wielu znajomych, dzięki którym udało się utworzyć sieć współpracowników. W wersji seryjnej peem, ulepszony przez Strąpocia na podstawie doświadczeń z eksploatacji prototypu, składał się z 24 części, które przemyślnie rozdzielono do wykonania podwykonawcom.

Kluczową postacią był tu Stanisław Zareba „Jastrząb”, szkolny kolega Swata, który zatrudnił się w ostrowieckich zakładach, by koordynować produkcję. Konspiratorzy



Bechowiec z zamkiem w maksymalnym tylnym położeniu – krótka droga zamka zwiększa szybkostrzelność, ale spora masa pozwala zachować ją mimo to w racjonalnych granicach

DANE TECHNICZNE:

KALIBER:	9 mm / 7,62 mm
NABÓJ:	9 mm x 19 Parabellum / 7,62 mm x 25 wz.30
DŁUGOŚĆ:	445 mm
DŁUGOŚĆ LUFY:	240 mm
MASA:	2,43 kg
POJEMNOŚĆ MAGAZYNKI:	32 naboje
ZASADA DZIAŁANIA:	odrzut swobodny
LICZBA WYPRODUKOWANYCH EGZEMPLARZY:	12 szt.

z wydziału remontowego Zakładów Ostrowieckich (m.in. Zygmunt Ma-kuła, Henryk Mansz, Franciszek No-wak, Stefan Szczypuch i Władysław Żelazowski) zaczęli w tajemnicy przed niemieckimi majstrami robić części. Zabezpieczeniem pracy, wy-konywanej głównie wieczorami na drugiej zmianie, zajmował się bry-gadzista Franciszek Nowak. Inżynier Jazgarz, niewtajemniczony w pro-dukcję, zatwierdził projekt obsady lufy, która wymagała bardziej skom-plikowanej obróbki i została wobec tego zakonspirowana jako część pro-dukowanego w ZO siewnika. Dzięki temu obsady można było produk-ować oficjalnie, w dzień, korzystając z pomocy niewtajemniczonych do-świadczonych frezerów. Ogółem w produkcję peemu zaangażowa-nych było 21 osób wykonujących różne półfabrykaty broni. Zaręba



Bechowce oznaczane były na zamkach cechą „S.H. W. 44” (Strąpoc Henryk wzór 1944) i symbolem „BH” – przy czym błąd ortograficzny nie wynikał z niewiedzy konstruktora, tylko ze zdekompletowania zestawu wybijaków literowych dostępnych w kuźni

zbierał je w schowku na wydziale walcowni i organizował wynoszenie poza teren zakładów. Materialnie całe przedsięwzięcie wspierała komenda obwodu opatowskiego BCh, wydatnie pomagał w tym jej dowódca, Władysław Zwieski „Jaruga”.

Henryk Strąpoc w swojej kuźni montował z dostarczanych półfabrykatów kolejne egzemplarze Bechowców, ręcznie je wykańczając. Kuźnia nie była wyrafinowanym warsztatem mechanicznym, ale udało się ją doposażyć w pedałową to-karkę, ręczną wiertarkę kolumno-



Bechowiec rozłożony do czyszczenia

wą, spawarkę, rozwiertaki, pilniki oraz komplet narzynek i gwintowni-ków. W pracy przy produkcji pe-emów uczestniczyli oprócz konstruktora także jego dwaj bracia, Wacław i Edward, oraz Jan Kłoko-cki, Stanisław Łebek i młodszy brat „Orla” – Józef Swat.

Konstrukcja Bechowca

Wspomniałem już o innowacyjnej konstrukcji peemu – na czym więc ona polegała? Otóż Bechowiec był prostym pistoletem maszynowym działającym na zasadzie odrzutu zamka swobodnego, ale nietypowo rozwiązano budowę mechanizmów. Ponieważ Strąpoc znał tylko klasycznej budowy pistolety samo-powtarzalne, tak samo zaprojektował swój peem. Odwrotnie niż we wszystkich innych konstrukcjach tego okresu, zamek obejmował lufę i poruszał się na zewnątrz szkieletu, po szynach wykonanych w jego górnej części. Inne peemy miały zamki poruszające się wewnątrz (przeważnie rurowej) komory zamkowej. Bechowiec nie dość, że strzelał z zamka zamkniętego, to jeszcze miał kurkowy mechanizm uderzeniowy, z kurkiem wewnętrznym – chyba jako pierwszy (nie liczymy tu wtórnie umaszynowanych pistoletów samopowtarzalnych, w typie Steyra M.12/P16 czy Mausera 712) pistolet maszynowy w historii! Co więcej:

Bechowiec ma także trójpołożeniowy bezpiecznik/przełącznik rodzaju ognia i spust samoczynny, zwalnający w ogniu ciągłym kurek do każdego strzału oddzielnie, przez co zapobiega przedwczesnemu odpaleniu przy niedomkniętym zamku. Do pełni szczęścia brakowało tylko zaczepu zatrzymującego zamek w tylnym położeniu po ostatnim strzale – w Bechowcu opierał się on na podajniku magazynka, więc po jego wyjęciu zamek powracał w przednie położenie i po zmianie magazynka trzeba go było ponownie ręcznie odciągnąć do tyłu, co przedłużało czas powrotu do walki.

Broń była zasilana z 32-nabojowego dwurzędowego magazynka z dwupozycyjnym wyprowadzeniem nabo-ju – rozwiązanie jak na tamte czasy bardzo nowoczesne, choć sam magazynek był toporny i dość ma-sywny. Pistolet miał prymitywne przyrządy celownicze, nieodbiegające od peemowego standardu, za to zupełnie brak mu jakiegokolwiek kolby.

I tak oto okazało się, że technicz-na ignorancja konstruktora peemu, który nie znał powszechnie wówczas przyjętych zasad budowania takiej broni, doprowadziła do powstania nowatorskiej konstrukcji, wyprzedzającej znacznie swoje czasy. ■

Zdjęcia: autor i Leszek Erenfeicht, zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Pożegnanie płk. Stanisława Berkiety

(22 XI 1919 – 7 II 2014)

Pułkownik Stanisław Berkietą urodził się 22 listopada 1919 r. w Adamowie (pow. grójecki). We wrześniu 1939 r. ewakuowany razem z pracownikami Centralnego Okręgu Przemysłowego. Po ataku sowieckim na Polskę przedostał się pieszo do Warszawy. W listopadzie 1939 r. zaangażował się w kolportaż pisma podziemnego „Szaniec”, po nawiązaniu kontaktu ze swymi przyjaciółmi z 8. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej. W kwietniu 1940 r. podjął próbę przedostania się do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Zatrzymany przez sowiecką straż graniczną, więziony w Przemyślu, a następnie w Starobielsku, pod zarzutem szpiegostwa, otrzymał wyrok pięciu lat łagru. Od grudnia 1940 r. więziony w łagrach Uchtizemlag – w rejonie Kotłas–Uchta. We wrześniu 1941 r. uzyskał zwolnienie dzięki amnestii, na mocy traktatu Sikorski–Majski. Skierowany do pracy w kolchozie, zdołał uciec do Kazachstanu i od marca 1941 r. współdziałał przy zakładaniu polskiej placówki dyplomatycznej oraz sierocińca w miejscowości Nowotroick, w południowej części Uralu.

W marcu 1942 r. wstąpił ochotniczo do Polskich Sił Zbrojnych formowanych w ZSRR. W maju 1942 r. uzyskał przydział do elitarnego Batalionu „S”, przekształconego w 15. Pułk Ułanów Poznańskich jednostki rozpoznawczej 5. Kresowej Dywizji Piechoty. W szeregach tego pułku przeszedł szlak bojowy II Korpusu Polskiego



FOT. ALINA NOWACKA

poprzez Irak, Palestynę, Egipt i Włochy. W 1943 r. ukończył szkołę podchorążych na terenie Palestyny, w miejscowości Gedera.

W marcu 1944 r. przetransportowany do Taranto we Włoszech.

W kwietniu 1944 r. został dowódcą 3. plutonu w 4. szwadronie 15. Pułku Ułanów Poznańskich. Walczył nad rzeką Sangro.

Następnie uczestniczył, począwszy od 11 maja 1944 r., w atakach na wzgórze Monte Cassino. Podczas akcji patrolowych pod Monte Cassino zdobył rejon kamieniołomów w okolicy Castellone.

W czerwcu 1944 r. brał udział w zadaniach rozpoznawczych pod Tolentino. W lipcu 1944 r. uczestniczył w zdobyciu San Biagio oraz w manewrze obejścia podczas bitwy o Ankonę. Od października 1944 r. walczył w Apeninie Emiliańskim.

We wrześniu 1946 r. został przeniesiony do Wielkiej Brytanii.

U honorowany Krzyżem Walecznych, Krzyżem Monte Cassino, Medalem Wojska oraz odznaczeniami brytyjskimi: Star 1939/45, Italy Star oraz Defence Medal. Zdemobilizowany w grudniu 1948 r. w randze podporucznika. Po wojnie pozostał na emigracji w Wielkiej Brytanii. Został cenionym specjalistą w zakresie indukcyjnego nagrzewania metali.

Od 1948 r. należał do Zarządu Koła 15 Pułku Ułanów Poznańskich – początkowo jako skarbnik, a od 1986 r. prezes. Pełni też funkcję prezesa Związku Żołnierzy 5 Kresowej Dywizji Piechoty, prezesa Związku Żołnierzy II Polskiego Korpusu oraz wiceprezesa Federacji Organizacji Kombatanckich Polskich Sił Zbrojnych.

W 1995 r., podczas święta 2. Korpusu Zmechanizowanego, razem z aktorką Anną Dymną zostali rodzicami chrzestnymi sztandaru 2. KZ.

Za wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej oraz działalność kombatancką uhonorowany: Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (w 2011 r.), Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (w 2003 r.). W 2009 r. odznaczony Złotym Medalem Wojska Polskiego za działalność społeczną. Uhonorowany Medalem „Pro Patria” i Medalem „Pro Memoria”.

Świętej pamięci płk Stanisław Berkietą zmarł w Londynie 7 lutego 2014 r. W uroczystościach pogrzebowych uczestniczył Jan Stanisław Ciechanowski – kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Odszedł na wieczną wartę waleczny żołnierz i gorący patriota.

red

